

TYGODNIK ILLUSTROWANY



PORTRET
Z wystawy T. Z. S. P.

ALEKSANDER AUGUSTYNOWICZ

HENRYK MOŚCICKI:

„POUR LE ROI DE PRUSSE”.

Projekty zniweczenia odrębności prawno-politycznej Królestwa Polskiego i zmiany konfiguracji granic od strony Prus i Rosji mają już swoją historię. Ta pierwszorzędną doniosłością dla naszego kraju kwestya posiada złowrogą tradycję, odnawiającą się przy każdym niemal momencie przełomowym w ciągu niespełna stuletniego bytowania formacji traktatowej wiedeńskiej—Królestwa Polskiego. Czynnikiem najpoważniejszym, występującym stale w tego rodzaju projektach, zawsze groźnym i narodowi naszemu specyficznie wrogim, są Prusy. Groźba krzyżackiego obucha wisi, jak miecz Damoklesa, nad Królestwem. Istnieją po temu ustalone racje, uprawnione ciężkim doświadczeniem ubiegłych pokoleń. Wiarołomstwo Prus względem Polski wszak nie od dziś się datuje; intrygi, zdrady, obłuda—oto ich system, przyjęty oddawna w zacieklej żywiołowej walce ze Słowiańszczyzną. Wiadomo powszechnie, jak podczas Sejmu Wielkiego Prusy zawarły przymierze z Rzeczpospolitą przeciw Rosji i jak następnie zdradziły Polskę, zagarniając łup drugiego i trzeciego podziału. Tej cennej, wówczas pozyskanej, niebawem jednak, po dziesięciu latach utraconej zdobyczy nigdy Prusy nie zapomniały, nigdy po dzień dzisiejszy nie mogą zapomnieć swoich rządów w Warszawie, przeboleć straty obecnego Królestwa Polskiego.

Powalone przez Napoleona, nie były narazie w możności upomnieć się o łakomy kąsek polski. Uczyniły to przy najbliższej sposobności, po klęsce napoleońskiej w roku 1812, w czasie rokowań z Aleksandrem I w Kaliszu, w lutym 1813 roku. Wtedy to, gdy chodziło o załatwienie sprawy zwrócenia Prusom ich dawnych posiadłości polskich, pełnomocnik króla Fryderyka Wilhelma III, generał Knesebeck, żądał przywrócenia *status quo* z 1806 roku, decydując się tylko na ustąpienie Rosji obwodu Białostockiego. Cesarz Aleksander I, zgadzając się w zasadzie na przywrócenie Prusom „poprzedniej ich siły realnej”, proponował dworowi pruskiemu „odszkodowanie” w formie zaboru Saksonii wzamian za zatrzymanie przy Rosji Księstwa Warszawskiego. Knesebeck sprzeciwiał się gorąco takiemu postawieniu sprawy, twierząc, że bez ziem polskich Prusy nie będą stanowiły należytego „ensemble et un corps d’Etat”, nie będą też miały żadnej granicy strategicznej od Rosji, i wskazał pośredniczący plan delimitacyjny, zabierający z powrotem do Prus część ówczesnego Księstwa Warszawskiego, dla militarnego zabezpieczenia Prus Wschodnich i Zachodnich, do linii „naturalnej,” która miała iść biegiem Prosny, Warty, Narwi i Niemna.

Jest to słynna, tak zwana „granica knesebeckowska” (*Knesebecker Grenze*), mająca przepołowić dzisiejsze Królestwo Polskie i oderwać od niego obecne gubernie piotrkowską, kaliską, plocką, połowę łomżyńskiej i większą część warszawskiej.

Wtedy jednak, w roku 1813, w tryumfalnej dla zwycięskiej Rosji chwili plan ten nie miał widoków powodzenia. Wyrzeczono się go też ze strony pruskiej i zaspokojono łatwiejszą podówczas zdobyczą saską.

Umowy rosyjsko-pruskie w Kaliszu stały się w następstwie podstawą Kongresu Wiedeńskiego, na którym udało się Prusom wydrzeć z dawniejszej ich dzielnicy polskiej dzisiejsze W. Księstwo Poznańskie, z koncepcją jednak „granicy Knesebeckowskiej” nie rozstano się bynajmniej, wznawiając ją przy każdej nadarzającej się sposobności.

Plan ten zostanie niebawem odnowiony przy pierwszej zaraz okazji, podczas rewolucji listopadowej. Po wybuchu powstania ówczesny konsul pruski w Warszawie, Schmidt, pozostał nadal w stolicy dla konferowania z rządem polskim i łudzenia obietnicami przyjaznej interwencji dworu berlińskiego w sprawie polskiej. Jednocześnie poseł pruski w Petersburgu, Schöler, z polecenia swego rządu proponował okupację zbrojną, a nawet zagarnięcie połowy Królestwa. Korpusy poznańskie, V i VI-ty, gotowe były do wkroczenia w granice Kongresówki, plan okupacji opracowany był w najdrobniejszych szczegółach. Zabiegi Schölera potrafiły wpoić w cesarza Mikołaja I przekonanie, że Królestwo Polskie, jako całość, stanowi jedynie źródło niebezpiecznych dla Rosji kłopotów, iż „jedno spojrzenie na mapę okazuje zastraszający widok granic terytorium polskiego Rosji, dotyczących prawie Odry, a cofających się na flankach aż za Niemen i Bug”, iż zatem leży w interesach rządu rosyjskiego pozbyć się połowy Królestwa. Pod wpływem tych „przyjacielskich” wskazań cesarz Mikołaj nie wahał się wyrazić opinii: „że Rosya nie ma interesu w posiadaniu prowincji polskich, ... że rzeczywiste jej interesy nakazują jej ustawić i utrwalić swoją granicę na Wiśle i Narwi”, resztę zaś Królestwa oddać Prusom. Powyższe postulaty nie zostały wszakże w czyn wprowadzone, głównie skutkiem przeciwniej i nader stanowczej opinii feldmarszałka Paskiewicza z czerwca 1831 r.

Zabiegi pruskie w tym samym pamiętnym projekcie „granicy knesebeckowskiej” wypłynąć miały ponownie przy następnej okazji, na wiosnę 1863 r. Wtedy to hr. Bismarck, podżegając rząd petersburski przeciwko Polsce, jednocześnie prowadził rokowania z Władysławem Czartoryskim, zmierzające do rzekomego poparcia usiłowań powstańczych, w gruncie rzeczy jednak konsekwentnie dążył do urzeczywistnienia myśli knesebeckowskiej o „wygodniejszych granicach wschodnich”. Plan swój wcale niedwuznacznie rozwijał Bismarck w swoich półurzędowych enuncyacjach. Tak, w połowie lutego 1863 r., na jednym z balów dworskich w Berlinie, wydawanych z powodu odbywających się ówczesnie posiedzeń sejmowych, Bismarck wszczął rozmowę z wiceprezydentem izby von Behrendem o kwestyi polskiej, zajmującej podówczas wszystkie umysły i będącej przedmiotem gorących rozpraw w sejmie pruskim. Bismarck, narzekając na „nierozumną” opozycję izby w sprawie polskiej, rzekł: „Kwestya polska może

być w dwojaki sposób rozstrzygnięta: albo trzeba razem z Rosją stłumić co rychlej powstanie i przedstawić mocarstwu czyn dokonany, albo też zezwolić na rozwinięcie się i zaostrenie sytuacji, poczekać, aż Rosyanie będą wypędzeni z Królestwa, albo zmuszeni do proszenia o pomoc. Wówczas należy postąpić śmiało i zająć Królestwo na rzecz Prus. W ciągu trzech lat wszystko tam będzie zniemczone...” Zdumiony Behrend zawołał: „Częstujesz mnie pan balową rozmową!”—„Nie, odrzekł Bismarck, o rzeczach poważnych mówię poważnie. Rosyanom obrzydło Królestwo, sam cesarz Aleksander mówił mi to w Petersburgu...” Powyższe słowa, nacechowane junkierską butą i właściwą przyszłemu „księciu żelaznemu” pewnością siebie, dobitnie stwierdzają, jakie były ówczesne zamiary rządu pruskiego, mające nadto, jak to skądinąd wiadomo, poparcie w pewnych kołach urzędowych petersburskich.

Takie były propozycje pruskie w ich historycznym rozwinięciu. Dotychczas spotykały się one bądź co bądź ze stanowczą odmową miarodajnych czynników rosyjskich. W ostatnich dopiero tygodniach po raz pierwszy ze strony rosyjskiej, na łamach półurzędowej *Rossii*, oświadczone, że zajęcie całego Królestwa Polskiego przez Prusy może być tylko z korzyścią dla Rosji. Uderzająca jest zaiste analogia argumentów autora głośnego artykułu w organie ministeryalnym z przytoczonymi powyżej motywami, inspirowanymi z Berlina w latach 1831 i 1863. Zarówno dziś, jak i w czasie tamtych podszeptów „dobrego sąsiada”, rzekome niebezpieczeństwo zdrowego ekonomicznie i uświadomionego narodowo żywiołu polskiego w Królestwie jest zasadniczym motywem, dla którego Rosya gotowa pozbyć się Królestwa Polskiego. Nie wchodzimy w krytykę pobudek charakteru strategicznego, szczegółowo rozważanych przez p. Witmera w *Rossii*. Taka krytyka nie do nas należy, i nie czujemy się do tego powołanymi. Nie wiemy nic o sprawności bojowej fortec Królestwa. Co najwyżej, moglibyśmy się powołać na opinię najwybitniejszych strategów: Napoleona i naszego Prądyńskiego, stwierdzających niezmierną doniosłość Królestwa, jako teatru ewentualnej wojny rosyjsko-pruskiej, i, z tego wychodząc założenia, żądających w swoim czasie umocnienia fortyfikacji nad Wisłą. Dla nas projekt *Rossii* ma przedewszystkiem znaczenie polityczne. I pod tym jedynie względem może być przez nas rozważany. Streszcza się w idei zniweczenia odrębności prawno-politycznej Królestwa Polskiego. Jest on nadto najdobitniejszym stwierdzeniem upadku polityki eksterminacyjnej Rosji w stosunku do Polski; odtąd punkt ciężkości tej polityki ma być przeniesiony poza linię forteczną Brześć — Suwałki, czyli na Litwę. Uprzednie oderwanie Chełmszczyzny od Królestwa, dziś motywowane względami natury szowinistycznej w duchu „prawdziwie rosyjskim”, w przyszłości stanowić może ważny prejudykat, ułatwiający praktyczne urzeczywistnienie projektu p. Witmera. Czem jednak wobec tych wszystkich planów jest polityka i dyplomacja rosyjska XIX stulecia?



JUTRZENKA (z wystawy „Odłam” w T. Z. S. P.)

ST. STRASZKIEWICZ

JÓZEF WEYSSENHOFF:

ROZMOWY LITERACKIE.

I.

EPOPEJA CHŁOPSKA.

Aby zastąpić niezgrabny wyraz „beletystyka”, możnaby powiedzieć: literatura piękna, gdyby obok pięknej nie istniała dzisiaj literatura—dziwna. Dwa odrębne plemiona twórców istnieją społecznie, wcale niezależnie od podziału na „starych i młodych”. Jedni snują swą przędzę z tradycyjnych pojęć ludzkości o pięknie, mieszczą się w tych pojęciach ze swymi pomysłami, zaczerpniętymi z nowych wzruszeń, których nie przestaje dostarczać życie; drudzy usiłują przedewszystkiem wymyśleć nowy stosunek autora do czytelnika, coś w rodzaju działania magnetyzera na medium, przyczem wszelkie sposoby są dobre, byleby grały na nerwach podziwu. Podziw zaś nie jest sam przez się wrażeniem z zakresu estetyki; podziw wywołać może i brzydota, i zachwałość, i niedorzeczność. Wrażenie dzieła sztuki składa się raczej z harmonijnej wizji, z syntetycznego objawienia i z wdzięczności dla twórcy. Piękne dzieło rozgrzewa bardziej, niż zadziwia, porządkuje myśli, a nie przewraca ich w głowie. Dlatego też dzieła piękne wydają się tak często prostemi, niemal łatwemi do wykonania w zastępstwie autora. niby poczętemi w nas samych, a przypadkiem tylko przez kogo innego wykonanemi.

Utwory, których cel artystyczny i forma nie są odrazu przejrzyste, mogą wszelako być nie tylko dziwne, ale i piękne. Tylko w tej kategorii dzieł, zamroczonych umyślnie, wojujących oryginalnością, kryje się zbyt często niemoc twórcza lub choroba. W dzisiejszym barbarzyńskim zamęcie pojęć estetycznych piśmienny waryat ma wielkie szanse pozyskania laurów poetyckich od tysięcy ludzi, którzy

w literaturze szukają nie olimpijskiego nektaru, lecz byle jakiego alkoholu.

Aby uzasadnić powyższe twierdzenia, trzeba by złożyć coś w rodzaju podręcznika estetyki pisarskiej, dzieło z wielu względów niemożliwe. Wolę dowodzić mych przekonań i zapatrywać na przekrojach wybitnych utworów literatury społecznej. Tym sposobem łatwiej spodziewam się trafić do porozumienia ze sprzyjającym mi czytelnikiem.

Powiem dzisiaj o dziele, należącym niewątpliwie do literatury pięknej i jasnej. Taki to stary rodzaj ci „Chłopi” Władysława Reymonta, opisani w czterech tomach, w czterech porach roku, że narzuca się starożytne miano „epopei”. A tak nowe wzruszenie i miłowanie, które autor w nas przelewa, że musimy go zaliczyć do najnowszych czarodziejów w dziedzinie literatury, pomimo że nie wykonał w oczach naszych ani jednej sztuki łamanej, nie zakrył płachtą augura ani cała swego dzieła, pisanego krwią, malowanego słońcem. Nowożytny jest innym, cenniejszym sposobem: kocha to, co i my kochamy; widzi lepiej to, co i my wypatrujemy, mówi to, cośmy chcieli powiedzieć.

Chcieliśmy powiedzieć—i nie tylko w literaturze—jaka siła rodzima leży w chłopie polskim, przywartym do swego zagonu, przecykającym się do poczucia obywatelskiego. Wypatrujemy z oddalenia, rychło przebudzenie nastąpi. Kochamy instynktowo ziemię naszą i lud, choć wiadome nam są ich niedola i przywary. Jesteśmy idealnie przygotowani, w ostatniej chwili, jeżeli nie do wielkich czynów patriotycznych, to do odczucia powieści Reymonta.

Wiedział to i czuł poeta, wszedł w sam środek swego zadania i powołania, w sam też środek chłopskiego świata, i dał nam nie traktat, nie naukę, której od niego nie oczekiwaliśmy, lecz obraz i pieśń, którą był nam winien.

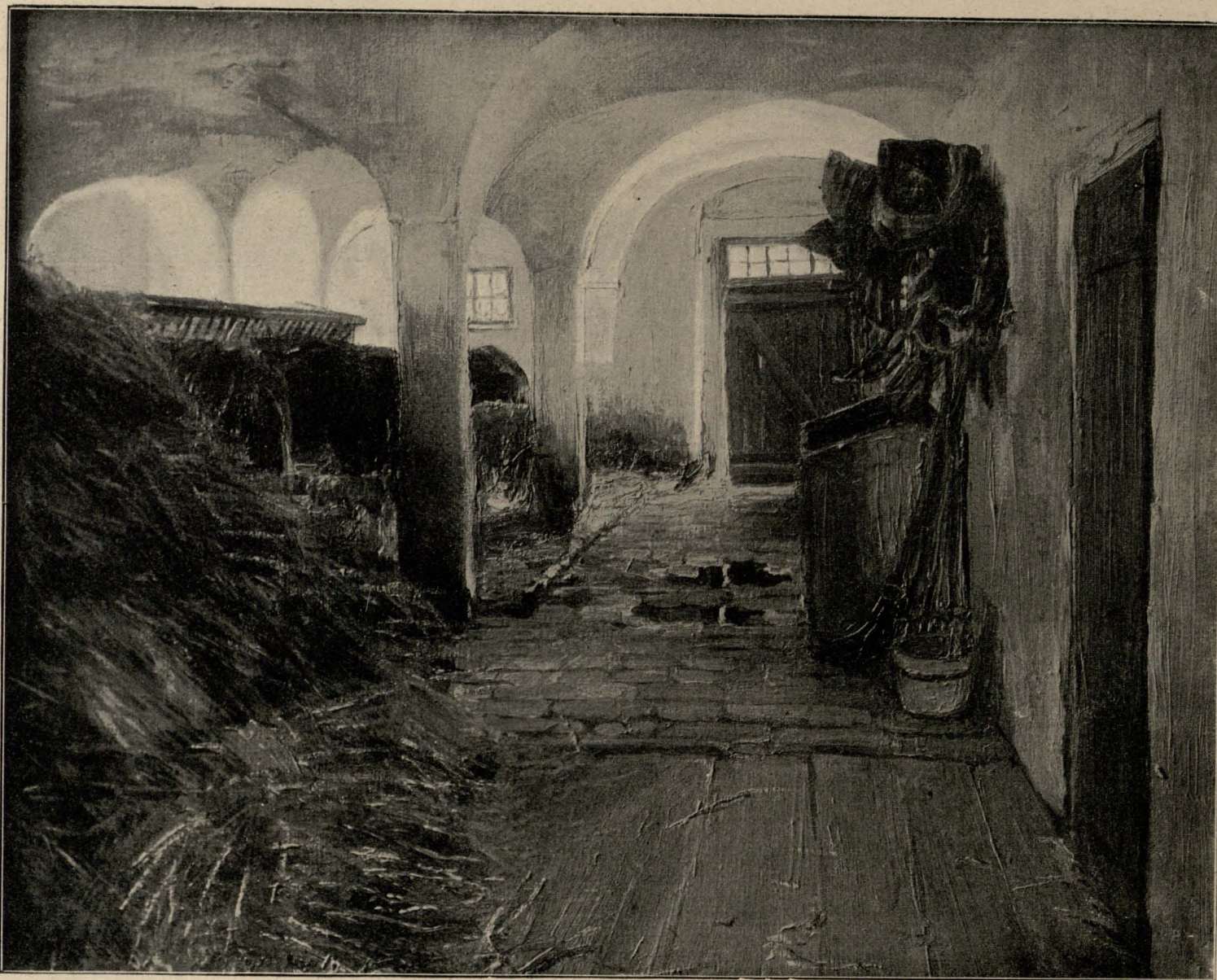
I takim sposobem klasyczny niemal w tym

utworze Reymont stał się nawskroś nowożytnym poetą ostatniej doby.

Powie ktoś, że tylko przez wybór „palącej kwestyi”. Nie. Jako artysta, zdobył sobie Reymont swój wieniec osobny, a przeto nowy, i nie dlatego tylko zaszczytny, że nowy. Budowa utworu, choć tak jasna i pozornie stara, język, sposób obrazowania i sam sposób myślenia przejęte są żywą, odrębną indywidualnością, a zarazem tem nigdzie nie słabnącem postanowieniem twórczem, które cechuje dzieła, prawowicie poczęte, nie wymyślone ku podziwowi, lecz z głębi nakazu twórczego płynące, szczęśliwe i promienne.

Przedmiotem jest tu zarówno chłop, jak wieś polska w całej rotacji swych przemian rocznych. Dlatego ta nieprzerwana fala opisów przyrody we wsi Lipcach, której autor prawie nie opuszcza przez długi ciąg swego opowiadania. Trudno tu przytaczać, gdyż niepodobna uczynić wyboru z tych wspaniałości opisowych, przelewających się nad powieścią o ludziach, na modłę epopei, nie zaś impresjonistycznie i w związku z psychiką postaci, jak np. u Maupassanta. Spotkałem się ze zdaniem, że te krajobrazy, tonem zawsze górnym, pełnym porównań, często z umysłu powtarzanych, wreszcie nużą. Nie mnie. I proszę, dla sprawdzenia ich wartości kolorystycznej i muzycznej, zacząć czytać na głos choćby od początku 4-go tomu. Wszędzie to samo napięcie stylowe, ten sam zapas tchu epickiego, ta sama szczerłość zapału, udzielająca się czytelnikowi.

Kapitałnym pomysłem Reymonta w „Chłopach” jest stworzenie sobie udzielnego języka, zastosowanego do przedmiotu. Że chłopci mówią z chłopską, a nawet narzeczem mazursko-łowickim, to nie nowina w literaturze. Ale autor przemawia od siebie nie zwykłą, górną polszczyzną, lecz mową, *ad hoc* ułożoną, wzorowaną na mowie włościan, nieskończenie tylko obfitszą, wzbogaconą zwrotami z innych



STARA STAJNIA (z wystawy T. Z. S. P.)

KATARZYNA MÜNZER-NEUMANN

stron kraju, nawet archaizmami, z trafnym smakiem wznowionymi. Nie jest to narzecze „księżaków”, lecz piękna, poetyczna, giętka mowa polska, nasiąknięta sztuczną gminnością, która sprawia złudzenie, że autor jest idealnie wydoskonalonym chłopem, jak np. Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” udaje zaściankowego szlachcica, jak Goethe w „Herman i Dorotea” jest najmędrszym z drobnomieszczan. Ten podstęp artystyczny, doskonale utrzymany, potęguje ton epicki powieści Reymonta. Nie dostrzegamy nigdzie zawodowego literata z jego sposobami i popisami, nie czujemy wysiłku roboty. Jakiś tytaniczny chłop powiada nam dzieje wsi polskiej, niby autentyczną historię, i wierzymy mu chętnie, rozkosznie, od pierwszych słów powieści:

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”

aż do ostatnich:

— „Ostańcie z Bogiem, ludzie kochane”.

Czy tam gdzie u nas chłopci są lepsi, czy gorsi; czy gdzie w ciągu roku tyle się skupiło uciech i smutków, sielanek i tragedii, tyle typowych losów osobistych i gminnych?— te pytania stawiać mogą tylko ludzie, nie rozumiejący zadań literatury. Wieś Lipce i jej mieszkańcy żyją swym życiem urojonym, równoległym do rzeczywistego, żyją tą przesadą artystyczną, która z rudy rzeczywistości wytapia złoto sztuki, nie zmieniając duszy rzeczy, lecz skupiając jej objętość, a podnosząc jej cenę.

Nie samym tylko wynalazkiem języka, nie samem bogactwem opisów kraju stoi to dzieło istotnie wspaniałe. Poznajemy tłum ludzi, a w tłumie jednostki, na różnych stojące planach, wszystkie wykończone, lub naszkicowane stosownie do potrzeby, wszystkie, po zamknięciu książki, dobrze znajome, niektóre niezapomniane i starczące pojedynczo za przedmiot powieści. Nie wiem, czy w której powieści polskiej znajdzie się taka ilość nie chybionych, doskonałych postaci.

Nie wiadomo, kto tu „bohaterem”: czy Maciej Boryna, czy syn jego Antek? czy żona tego ostatniego, Hanka? czy macocha i „kochanica”, Jagna? A z jak trafną miarą na swych planach perspektywicznych i użytkowych postawione są postacie niby drugorzędne: Mateusz Gołąb, Kuba, proboszcz, kowal, Rocho, Szymek, Dominikowa, Jagustynka — i kto ich tam zliczy! Ani jeden mieszkaniec Lipiec nie został potraktowany pobieżnie, dla przelotnego efektu. Jeżeli którego rzadziej spotykamy, to jednak pozostaje nam przytomna w pamięci jego sylweta odrębna, snująca się zawsze konsekwentnie po tej drodze topolowej, to nad stawem, to po wsi, tak swojsko nam znajomej. I ze szczerem zadowoleniem witamy w 3-im tomie powracającą do wsi żebraczkę Agatę, którą zobaczyliśmy raz tylko na początku 1-go tomu, a już zdołała nas zająć; potem, gdy staruszka wita swą wieś i wiosnę, niosąc „śmiertelne wiano”, wyżebrane na godny, gospodarski po-

chówek, gdy umiera z rzymską stałością i chrześcijańską rezygnacją, — wraża nam się w pamięć na zawsze, niby symbol nędzy, opromienionej wiarą i spokojem sumienia, a przecie tak realnie, jakbyśmy Agatę sami znali i zadumali się nad jej pogrzebem.

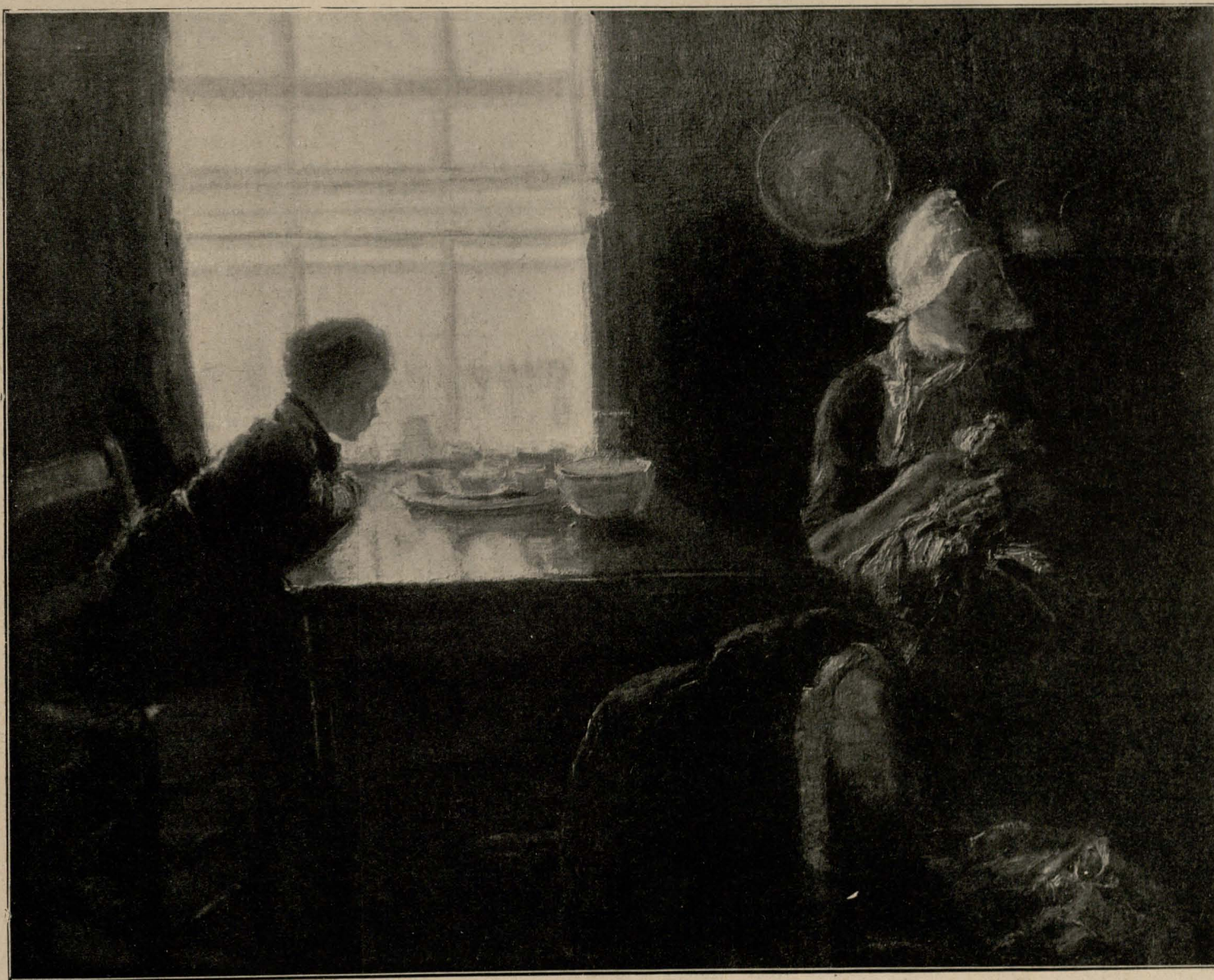
Żadna postać, by najdrobniejsza, nie przepada w powieści; żadna nie jest obrysowana jednym frazesem lub ruchem; każda przemyślana i stworzona. Np. wójt rzuca się najprzód w oczy przez swe wyborne, stereotypowe zdanie:

— „Ja wójt, wama mówię”.

Ale ten pomysł malowniczy bynajmniej go nie streszcza. Choć wójt nie należy do głównych działaczy powieści, dowiadujemy się o nim różnych szczegółów, które stopniowo podają go w podejrzenie, że źle skończy. I kończy źle, bo deficytem w kasie i ruiną.

Tak samo rysowanych jest parę innych, większych postaci, rzecz można, z niespodzianką. Zmieniają nam się w oczach w ciągu opowiadania. Jeżeli wychodzi to na korzyść takiemu, jak Mateusz Gołąb, zrazu siłacz i pyskacz dość antypatyczny, potem chłop „sielny”, mądry i serdeczny, to inny typ, proboszcz, rozsypuje się nam trochę z dobrego, wiejskiego kapłana w zbyt pospolitego klechę, popada, jako kreacja, w barok. Ale to już doprawdy przyczepki krytyczne z mej strony; pilno mi do wielkich postaci z pierwszego planu.

(DCN)



RODZINA RYBACKA (z wystawy T. Z. S. P.)

KATARZYNA MÜNZER-NEUMANN

EDWARD SŁOŃSKI: **S A D.**

I.

Zadumał się mój wiek męski
I czyni nad sobą sąd:

—Tu były klęski, tam klęski,
Tu czyjaś krzywda, tam błąd!

—Koszula na piersi zgrzebna,
Pierś szara, jak chłopski łan...
Życie to rzecz niepotrzebna,
To rzecz dla ciebie nad stan.

—Rzuć okiem na te kolumny
Cyfr, zsumuj je tak i tak—
Przekonasz się, że do trumny
Ćwieków i wiórów ci brak.

I prawda—koszula zgrzebna
I pierś, ni to chłopski łan...
Życie, jak rzecz niepotrzebna,
Odchodzi na drugi plan.

II.

Więc wszystko sprawdzam mozolnie,
Przeoglądam szeregi kart—
Z pod cyfr, kreślonych dowolnie,
Niesmaczny wyziera żart.

Bezdomne życie włóczęgi,
Czas głodów i chłodów czas,
A obok chłopskiej siermięgi
I delia, i złoty pas.

Na snów szalonych obłądy
Gryzący kładzie się pot—
Podniebne jakieś rozpędy
I nizki, przyziemny lot.

Po pańsku dłonią rozrzutną,
Jarmarczny ubrałem kram—
Tu ramy zakryły płótno,
Tam płótno wychodzi z ram.

I młodość rzutną i butną
Do twoich rzuciłem stóp—
A życie tak dziwnie smutno
Patrzy w otwarty mój grób...

III.

Na włosy mi lata sieją
Mieniących się szronów pył,
Ze smutków ludzie się śmieją,
Pytają:—Po coś ty żył?

—Jak kąkol, wichrem rzucony
Na puste bezbrzeża pól,
Z cudzego bólu zrodzony,
Powoli wrośłem w swój ból.

—Dojrzałem w jakiś dzień jasny
W południu upalnym śnie,
A cudzy ból i mój własny
Rósł we mnie i przerósł mnie.

—Jątrzył się we mnie, jak rana,
Dojrzawał w jawie i w snach,
Myła go woda wiślana,
I złoty rozpuszczał piach.

—Ale w nim moc taka była,
Że nawet po tylu dniach,
I woda go nie wymyła,
I nie rozpuścił go piach!

IV.

I smuci się wiek mój męski,
I czyni nad sobą sąd:
—W dzień klęski powstałeś z klęski,
I w tem największy tkwi błąd!

BOLESŁAW PRUS:

Pogróżki i nadzieje.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Po wybuchach gniewu panslawistów przeciw autonomii Polski, na którą jeszcze koty nie krzyczą, po projektach odłączenia „Chełmszczyzny”, ograniczenia liczby posłów, a bodaj czy nie wywłaszczenia Polaków na Litwie i Rusi, patryotyzm „prawdziwie rosyjski” wystąpił z nowym pomysłem: oddania Królestwa Polskiego Niemcom... Nielegalnym ojcem tego utworu politycznego jest korespondent *Rossii*, p. Witmer, a podstawą, na której opiera swoje wróżby czy zamiary, jest—podobno fakt—zniesienia fortec w Królestwie i zmniejszenia ilości wojsk na naszym terytorium.

Powiedziałem, że szanowny p. Witmer jest nielegalnym ojcem pomysłu oddania Królestwa Polskiego Niemcom, idea ta bowiem urodziła się bardzo dawno, odegrzewała się już ze dwa albo i trzy razy, lecz do skutku nie doszła. Miejmy nadzieję, że nie urzeczywistni się i tym razem. Jeżeli jednak p. Witmer wyobraża sobie, że nas przestraszy, że nas bardzo przestraszy widmem niemieckiego najazdu, to jest w błędzie. My najazd niemiecki mamy już dzisiaj, Niemców, uprzywilejowanych wobec nas, również mamy dzisiaj, a pod względem swobód narodowych i obywatelskich tak niewielkie grożą nam straty, że naprawdę—nie boimy się Niemców. Zresztą wiemy doskonale, że przyszłość nasza, w jakichkolwiek będziemy zamknięci granicach, zależy tylko od nas. Jeżeli wypracujemy ją—będziemy istnieć nawet wbrew nienawiści Prusaków; jeżeli opuścimy ręce—nie ocali nas nawet miłość „prawdziwych Rosyan”, której dowody tak mocno odczuwamy.

Ale rozważmy cokolwiek systematyczniej owe pogłoski i projekty.

Naprzód, co do kwestyi fortec w Królestwie Polskiem, mówił mi jeden pan, iż nie to jest dziwne, że je znoszą, nie to dziwne, że chcą zmniejszyć ilość wojsk, ale—że robią to tak późno. Na dowód proszę wziąć do rąk pierwszą lepszą mapę Królestwa i przekonać się, że naprzykład: od miejscowości pruskiej Łyck (na północ Królestwa) do rosyjskiej stacji kolejowej Białystok jest około 84 wiorst w linii prostej. Od miasteczka Sokal w Galicyi do rosyjskiej stacji Kowel jest także około 84 wiorst, podczas gdy od Wrześni w Poznańskiem (na zachód Królestwa) do Warszawy jest 216 wiorst.

Innymi słowy: armię rosyjską, uszykowaną wzdłuż Wisły, bez porównania prędzej można obejść od północy i południa, aniżeli zaatakować od frontu, czyli bardzo łatwo otoczyć ją i odciąć od głównych sił w Cesarstwie. Obrona zatem Wisły musiałaby się skończyć katastrofą.

Ale... co myśmy temu winni i za co nas nie kocha p. Witmer?...

Zatem w sprawie zniesienia fortec sztab rosyjski dobrze chce zrobić, że nie naraża swojej pierwszej armii na klęskę, przypominającą Metz czy Sedan. Co się zaś tyczy „oddania” Królestwa Niemcom, to p. Witmer myli się. Według rachunków p. Koszutskiego Królestwo Polskie warte jest około pięciu miliardów rubli... Któż zaś oddałby darmo pięć miliardów rubli nawet tak ukochanym przyjaciółom, jakimi są Prusacy?... Więc chyba p. Witmerowi nie o „oddanie” chodzi, lecz

o „sprzedanie” Polaków Prusakom?... No, ale w takim razie powinienby przypomnieć sobie historię Józefa, którego kochający bracia naprzód—trzymali w studni czy piwnicy, a potem sprzedali Egipcyanom, umożliwiając mu zrobienie świetnej kariery... u Putyfarowej i u samego Faraona. Jeżeli p. Witmer w imię słowiańskiego braterstwa chce naprawdę zapewnić nam karierę, bardzo mu jesteśmy wdzięczni. W tego rodzaju tranzakcyach tylko pierwsze chwile dla sprzedanego mogłyby być nieprzyjemne; lecz wkrótce przyzwyczaiłby się, może nawet bardzo prędko.

Spojrzymy jednak na tę samą sprawę z innego punktu i wyobraźmy sobie, że np. Austria musiałaby sprzedać Prusom Czechy. Otóż, w jaki mniej więcej sposób odbyłoby się pożegnanie:

— Moi drodzy Czechowie — mówiłaby Austria — jestem wprawdzie w dużej części państwem niemieckim, a wszyscy wasi współbracia, niewątpliwie kochający was, nazywają mnie śmiertelną, nieubłaganą nieprzyjaciółką Słowian. Pomimo tej nieprzyjaźni, racie zapisać sobie, nie przeszkodziłam rozwojowi ani waszego rolnictwa, które należy do najpiękniejszych w Europie, ani waszego przemysłu i rzemiosł, ani handlu, które to gałęzie pracy stoją u was, mniej więcej, na poziomie stosunków niemieckich. Następnie od 40 lat z górą nie hamowałam waszej oświaty nie tylko ogólnej, lecz i fachowej, nie tylko elementarnej i średniej, lecz także i wyższej; dzięki czemu posiadacie już jakąś literaturę naukową, a nade wszystko—swoich własnych uczonych. Z moich prowincyi niemieckich nie wypędzałam Żydów do waszego kraju, ażebyście nawzajem wygryzali się, jak zgłodniałe szczury; w sporze między Niemcami a wami stałam na stanowisku mniej więcej bezstronnem; nie drażniłam jednych przeciw drugim, owszem, starałam się zatargi łagodzić. Nie koniec na tem: pozwoliłam wam zawiązywać wszelkie możliwe stowarzyszenia, nie wyłączając Macierzy Szkolnej i Sokolstwa, które w ciągu dziesiątków lat rozwinęły się bardzo pięknie. Dzięki tym stowarzyszeniom wyrobił się wśród was duch obywatelski, co z pewnością przyczyniło się do umoralnienia narodu, nie mówiąc o wytworzeniu się dobrych nałogów ekonomicznych, którym zawdzięczacie swoją pracowitość, punktualność; nie mówiąc i o tem, że pohamowałam bezczelne żebractwo i nie dopuściłam do rozwoju bandytyzmu, do czego każde społeczeństwo ma zdolności i pociąg. Nareszcie—dzięki szerokiej swobodzie i niewzruszonemu poszanowaniu prawa, jakie wam zapewniłam, wyrobiliście się pod względem politycznym i wyhodowaliście w sobie takie poczucie narodowej godności, że niejednokrotnie stawialiście mi opór, przewracaliście moich ministrów, psuliście narady sejmowe i t. p.

Prawda, dziś sprzedaję was Prusakom, bo muszę. Chciejcie jednak przyznać, że nie tylko nie ogłupiłam was, nie zubożyłam, nie zdemoralizowałam, ale—dałam wam siły i narzędzia do walki z waszym nowym a niebezpiecznym panem. Nie zginiecie, lecz zahartujecie się, bo pod moimi rządami nauczyliście się nie tylko pracować, ale i myśleć samodzielnie.

W taki sposób Austria pożegnałaby sprzedanych Czechów. Ciekaw jednakże jestem: co p. Witmer powiedziałby na pożegnanie „odstąpionym” przez siebie Polakom?...

Jakby przeczuwając „iście słowiańskie” projekty p. Witmera, prasa nasza zaczyna budzić się, przecierać oczy i cokolwiek inaczej

spoglądać na naszych ewentualnie nowych panów—Niemców. Do tej pory na wszelkie sposoby powtarzaliśmy dawną zwrotkę: „Jak świat światem, nie będzie Polak Niemcowi bratem”... ogłaszałyśmy „bojkot” nie tylko przemysłu, ale nauki niemieckiej i widzieliśmy w Niemcach samo zło, jeżeli nie samo głupstwo. Dziś zaczynamy pytać: jakimi też owi Niemcy są naprawdę? a nawet—zaczynamy odkrywać w nich pewne zalety. Wprawdzie od czasu do czasu jakiś profesor wszechnicy jagiellońskiej bąknie o bojkocie, albo jaki dziennik rzuci słówko: „Niemcy mają dusze lokajskie”... ale obok takich głosów odzywają się i nieco odmienne. Jeżeli jeszcze nie zrozumieliśmy, to przeczuwamy, że—co innego jest pruska państwowość i hakatyzm, a co innego naród niemiecki i jego wielkie zalety.

Wyrazem nowego prądu jest szereg artykułów p. B. M. Koraszewskiego w *Gońcu* p. t. „Niemcy i Anglia”, przedstawiających antagonizm ekonomiczny i polityczny, jaki istnieje od pewnego czasu między dwoma państwami. Samo zaczęcie rozprawy już jest charakterystyczne. „Porzucmy na chwilę taktkę lekceważenia i ośmieszania przeciwnika, a miejmy odwagę zapoznać się z temi Niemcami, których istnienie zaślaniały nam orgie hakatystyczne pruskich karierowiczów; poznajmy Niemcy wytrwałej, mrówczej pracy, niezłomnej energii, niewzruszonej wiary w swoją misję, a ogarnie nas zdumienie i ból. Zdumienie—wobec rezultatów, osiągniętych przez Niemcy, ból—że naród, tak dzielny w swem życiu gospodarczem, wyróżnia się tak ujemnie swym bezwzględny nacjonalizmem, grożącym zagładą Polaków”.

Do chwili, kiedy to piszę, ukazały się dopiero trzy artykuły p. Koraszewskiego, a ich panującą ideą jest, że—Niemcy w rolnictwie prześcignęli Anglików, w przemyśle i handlu już dopędzają ich. Tych Anglików, którzy „dzięki zasobom swych bogactw, rozległości kolonii i stosunków, wreszcie siłą tradycyi posiadali monopol handlowy na rynku wszechświatowym”, gdy tymczasem Niemcy jeszcze przed kilkudziesięciami laty „miały tylko dwa porty morskie, rzeki płytkie, przystanie niewygodne. Ziemia, z wyjątkiem kilku nizin, obejmujących ledwie dziesiątą część powierzchni, była jałowa i nieurodzajna, trzecią część kraju pokrywały bagna i moczary, kruszce i minerały były niekorzystnie położone, oddalone od siebie i od portów”.

Nie koniec na tem. Po szczęśliwej wojnie z Francją Niemcy, upojone powodzeniem militarnem, rzuciły się na pole wytwórczości i zdobyczy ekonomicznych. W ciągu czterech lat powstało 857 towarzystw akcyjnych, z kapitałem przeszło trzech miliardów marek, zaczęła się gorączka przedsiębiorcza i — zakończyła się katastrofą. Albowiem przemysł i handel francuski i angielski, przeciw którym wystąpiły Niemcy, „posiadał wówczas o wiele lepsze, niż w Niemczech, urządzenia: środki transportowe, maszyny, surowce, a przede wszystkim wyszkolonych pracowników”.

Niemcy jednak, pomimo klęski, na duchu nie upadły, przeciwnie, zabrały się do pracy jeszcze energiczniej. „Przeprowadzono koleje i drogi, skanalizowano rzeki, rozszerzono sieć kanałów, łącząc w ten sposób tereny kruszców z pokładami węgla. Brak zaś wykwalifikowanych w przemyśle pracowników usuwano stopniowo, przez zakładanie coraz to liczniejszych szkół fachowych, którei dzisiaj słyną Niemcy”.

Powtarzam te szczegóły z historii eko-

nomicznej Niemiec, ażeby zwrócić uwagę czytelnika na fakt niewątpliwy, iż—niema tak złego położenia, z którego nie możnaby przejść na wyższe i bardzo wysokie stopnie, wszelako przy warunku mądrej i wytrwałej pracy.

Dzisiejsza „wielka siła ekonomiczna Niemiec nie powinna odbierać nam ducha, ale raczej zachęcać do emulacji: albowiem powodzenie przemysłowe Niemiec zostało osiągnięte za pomocą środków i metod, które i my osiąść możemy. Oświata, nauka, pilność, oraz to, czego nam dotąd najbardziej brak: równomierne zwracanie uwagi nie tylko na wielkie, lecz i na drobiazgowy rzeczy—oto przyczyny zdobywczego pochodzenia Niemiec na polu ekonomicznym, a następnie i politycznym”.

Tu rzuca autor bardzo mądre słowa, które warto i warto zapamiętać:

„Bez porównania silniejszym stwierdzeniem żywotności narodu jest wydajność jego pracy wytwórczej, aniżeli mnogość dobrze zaopatrzonych arsenałów i licznie wypełnionych koszar... Niebezpieczeństwo zalewu germańskiego dla Polaków i innych narodów słowiańskich nie tyle polega na przewadze militarnej Niemców, ile raczej na ich świetnej organizacji gospodarczej”. Oto jest święta, a dla nas wysoce pocieszająca prawda, że: prawo do istnienia zdobywa się nie tyle orężem, ile, i nade wszystko, mądrą, zorganizowaną pracą!...

Jak się to jednakże stało, że Niemcy, których świat uważał nie bez ironii za sentymentalnych marzycieli (to niby my dzisiejsi), tak stosunkowo prędko zdobyły rezultaty praktyczne? „Po roku 1848, odpowiada p. Koraszewski, zwrot ku realizmowi objawiał się głównie w doktrynach, głoszonych przez niemieckich uczonych. Urabianie woli, kult czynu, konieczność wysiłku, oto droga, jaką narodowi swemu wskazywali uczeni. Naród po-

szedł za ich głosem i począł kroczyć od zwycięstwa do zwycięstwa”...

Jeszcze inny charakterystyczny szczegół. Najniebezpieczniejszymi współzawodnikami Niemców byli Anglicy. Otóż, czy Niemcy gniewali się na nich, czy grozili im bojkotem, czy radowali się z klęsk wojennych, jakie spadły na Anglików... przed wiekami?... Wcale nie. „Od r. 1885 zaczęli napływać do Anglii pracownicy handlowi niemieccy dla nabycia praktyki i rutyny handlowej. Anglia roiła się od tych urzędników, pełnych zapału do pracy, wykształconych, wielojęzycznych, o skromnych bardzo wymaganiach. Dano im pracę niewdzięczną, bo załatwianie korespondencji zagranicznej, a oni bardzo gorliwie wypełniali swoje obowiązki”... No — i zbadali wszystkie tajemnice handlu angielskiego, nauczyli się od Anglików...

Czy my tak postępujemy w stosunku do Niemców? Bodaj, że nie. „Bojkotujemy” ich, a jeżeli zdarzy się okazja zdobyć od nich naukę, to albo głosimy, że jest nic warta, albo narzekamy na nadmiar pracy!...

Artykuły p. Koraszewskiego i wszystkie im podobne w naszych pismach uważam za dobrą wróżbę. Czytelnik może z początku irytować się na „protegowanie” (!) Niemców. może nudzić się niby morałami, w końcu jednak—coś mu zostanie w pamięci. A z czasem, kiedyś, może choć nasi synowie i wnuki zrozumieją, że nie „bojkoty” i im podobne czcze manifestacje prowadzą narody do pomysłowości, ale—praca uczciwa, wytrwała i mądra.

PAMIĘCI GAMBETTY.

Dnia 25 kwietnia w Nicei odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika Leona Gambetty.

Jeden z jego licznych biografów opowiada, że pewnego dnia marcowego r. 1824 z portu geneńskiego wyruszał do Argentyny niewielki żaglowiec, który wioził na pokładzie ks. Mastai (późniejszego papieża Piusa IX), Józefa Garibaldi'ego, wreszcie ojca Leona Gambetty. „Gdyby ten statek zatonął—dodaje—z pewnością losy Europy w XIX stulecia uległyby wielkim zmianom”. Przyznajmy mu słusność.

Jak wszyscy wybitni ludzie w demokracjach, zawdzięczał Gambetta karierę swoją temu, że był wielkim mówcą. Ale nie tylko temu. Kiedy w wojnie 1870 r. runęło cesarstwo, a nawet Francja sama zachwiała się w posadach, wziął on cugle rządu w swoje ręce. Nie danem mu było zyskać w historii tego miana, co Carnot w okresie Wielkiej Rewolucji, miana „organizatora zwycięstwa”, zyskał jednak niemniej w strasznej chwili rozgromu zaszczytne imię „organizatora obrony”. Jeżeli Francja straciła tylko Alzację i część Lotaryngii, a nie resztę Lotaryngii i Szampanię jeszcze, w znacznej mierze jemu to zawdzięcza.

A potem, kiedy stanął na czele wielkiego ministerium po nieudanych knowniach reakcyjno-monarchistycznych i założył podwaliny trzeciej Rzeczypospolitej, uosabiał zdrowy rozsądek mieszczaństwa francuskiego w słynnym swoim lapidarnym programie: *ni révolution, ni réaction*.

W stosunku do zabranych prowincji także najmocniejszy i najtrafniejszy zastosował pogląd: *Y penser toujours, n'en parler jamais*.

Pochodził z Południa. I spoczął na pięknym stoku

wzgórza, którego podnóże oblewają błękitne wody Śródziemne, pod błękitnym niebem Nicei, obok ruin starego zamku, szczątków przeszłości feudalnej.

Jako południowiec, miał właściwe tej części Francji przywary. I każdy, kto znał Gambetty karierę, snadnie odnalazł go pod rysami mistrzow-

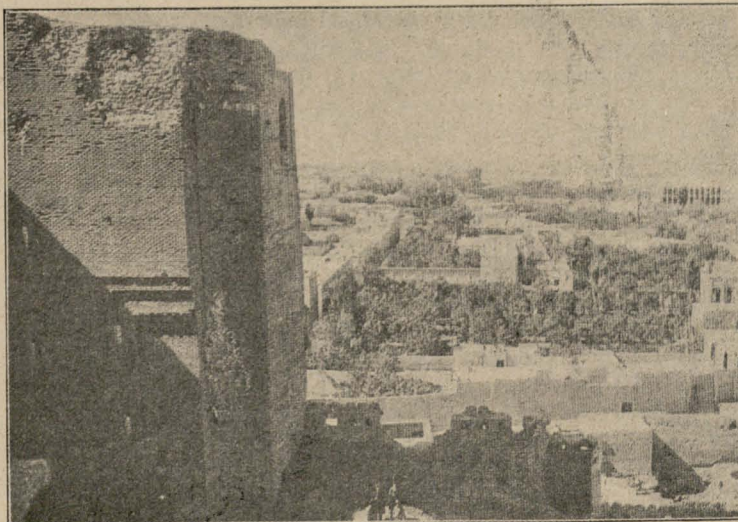


Pomnik Leona Gambetty w Nicei.

skimi Numy Roumestana Daudeta. Próżno autor dla zatarcia wzoru czyni bohatera swego *leaderem* prawicy zjednoczonej; w szerokim geście, uwiecznionym w tylu wesołych rysunkach, w bombastycznym frazesie łatwo poznać wielkiego trybuna i patryotę.

Powieść, karykatura są miarami popularności człowieka, wrażliwą go bowiem najmocniej w pamięć tłum. Dlatego o nich wspominamy, nie dlatego, by postać francuskiego męża stanu obniżyć.

W okresie romantycznym naszej polityki, w okresie kawiarnianych podziałów Europy, tak świetnie wcielonym przez Prusa w „Pamiętniku starego subjekta”, w okresie panowania *Gazety Warszawskiej* — Gambetta, przeciwnik Bismarcka, szybko zastąpił w marzeniach Napoleona, jako domniemany siewca przyszłej wolności ludów. I był także u nas bardzo popularny. Dlatego trzeba go czytelnikom polskim przypomnieć i z nad Wisły rzucić gałązkę wawrzynu do stóp pomnika jednego z wielkich zdawna nam bratniego narodu.



Widok Tebrizu, nieszczęsnego miasta, które jest głównym ogniskiem wojny domowej w Persji.

POMNIK KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO (PROMYKA).



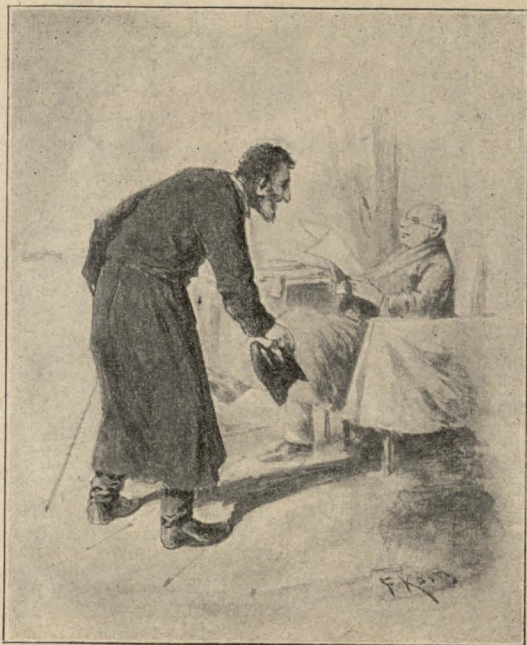
W wtorek 11 b. m. odbędzie się odsłonięcie pomnika znakomitego działacza ludowego, umieszczonego w kościele po-pijarskim. Pomnik wykonał artysta-rzeźbiarz, Czesław Makowski. Na płycie z szarego granitu, pod krzyżem umieścił artysta brązowy medalion z wiązką kłosów pszenicy, poniżej zaś płaskorzeźbę, symbolizującą samouctwo.

„Gazeta Warszawska“.

Z CYKLU: „WIEŚ“.

Z całej prasy naszej codziennej i tygodniowej dwa pisma tak się żyły z wsią naszą, że je każdy dwór ziemiański posiadać musiał: *Gazeta Warszawska* i *Tygodnik Ilustrowany*.

Tygodnik Ilustrowany w rozwoju swym wielostronnym jest dotychczas stałym cotygodnio-



Wieści ze świata. Poczta pantoflowa. Rys. Fr. Kostrzewski.

wym miłym gościem wsi polskiej, *Gazeta Warszawska* już do wspomnień należy.

Do wspomnień tych sięgam, do czasów tych, kiedy to polityk wiejski niecierpliwie oczekiwał na „pocztę”, aby się artykułem *pana Keniga* nadelektować, lub z *wzorków pana Franciszka* pośmiać.

Czasy to dawne, czasy dzieciństwa, a jednak dotychczas dzwonią mi rozlegającym się echem po komnatach dworców imiona, wyczytywane z *Warszawskiej*... Gladstone, Napoleon, Mac - Mahon, Bourbaki, Thiers, że już o źle tam widzianym Bismarcku i Moltkem nie wspomnę.

Za pośrednictwem *Warszawskiej* i Wiktor Emanuel, i Garibaldi, później Gambetta, Salisbury i tyle innych znakomitości nawiedzało dom szlachecki. A cóż dopiero moi. Bywał więc Kraszewski ze swoją zawsze sercem pochłanianą powieścią, bywali Nieczujowie i Olbrachtowi rycerze Kaczkowskiego, przesunął się w mistrzowskiej swej grze Królikowski z Żółkowskim, Modrzejewska, Bakałowiczowa, Popielka...

My, dzieci, uczyliśmy się wprost czytać na staruszce *Warszawskiej*.

Bo też było co czytać, zwłaszcza jeśli gdzieś na szerokim świecie działała grzmiały, co dla polityków wiejskich zawsze bywało pożądaną melodią, chociaż często i gorzkim strapieniem.

Nie rozumiałem wtedy tego dobrze, ale pamiętam, jak dziadowi memu błyszcząły oczy, gdy odczytywał na głos „biuletyny” o pochodzie Garibaldiego, jak sposepniał na wieść o... Sadowie!

A już francusko-pruską i pamiętam, i rozumiałem wówczas płynące nieraz nad *Warszawską* łzy dziadowe.

Pamiętam... dzionek lipcowy... Przyjechałem na wakacje ze szkół krakowskich. Codziennie stary Grzela cwałował na pocztę, o parę wiorst odległą. Niech Bóg broni, żeby się spóźnił, lub, co gorzej, „gazety” nie przywiózł. Wtedy dziad wpadał w fatalny humor. Ale na szczęście zdarzało się to rzadko. „Staruszka” przychodziła regularnie.

A była to chwila uruczysta, gdy dziad brał do ręki pożądaną gazetę. W całym dworze zalegała cisza. Dziad przerzucał najpierw szybko zadrukowane łamy, szukając najważniejszej wiadomości, a potem często na głos czytał od deski do deski. I nie trzeba było nawet dokładnie słyszeć lub rozumieć, co „stało” w gazecie. Dość było uważnie patrzeć w twarz starego czytelnika, aby się domyślić, co przyniosła. Kraśniał na każ-

dą wiadomość pomyślną dla Francuzów, bladł, chmurzył się każdą większą wiktoryą Prusaków.

A tych, niestety, było dużo, za dużo dla polskiego serca. To też, bywało, że nawet godna zaufania *Warszawska* przestawała budzić wiarę.

I dwór szlachecki uciekał się wtedy do „pantoflowej poczty” o pokrzepek.

Pamiętam—przed samym Sedanem... Już żniwa były w pełni, już się z „nowego” młóciło, kupcy zbożowi często zaglądali, bo zboże płaciło, zwyczajnie jak podczas wojny.

Niema lepszego psychologa w stosunku do szlachcica polskiego nad... kupca zbożowego!

Pamiętam... pewnego dnia dziad, strapiiony Bazain'em, chodził, jak struty, gdy zaturkotało—i zajęchała furmanka ze znanym na całą okolicę agentem młynów częstochowskich, Ledermanem.

Pamiętam, po chwilowej z nim rozmowie, dziad i ojciec wyszli do nas uśmiechnięci, weseli...

— No, Francuzi porządnie przetrzepali skórę Prusakom... Opowiada właśnie Lederman... A oni



Politycy wiejscy komentują ostatnie wiadomości z „Gazety Warszawskiej” Rys. Fr. Kostrzewski.

tam zawsze mają najlepsze wiadomości... Zresztą, to było do przewidzenia...

Wieczorem *Gazeta Warszawska* rozwiła „pewność” tej wieści, ale tymczasem Lederman kupił tysiąc korcy o parę złotych taniej na „parze”, gdyż uradowany szlachcic targować się nie chciał.

W tenże sposób przedarł się Burbaki z Szwajcary i szedł na Berlin, w tenże było jeszcze kilka zwycięstw francuskiego oręża i dwie czy trzy interwencje mocarstw postronnych na korzyść Napoleona.. I za każdym razem szła polska pszenica taniej na furmanki pomysłowych „wojennych kurierów” ze Szczekocin, Wodzisławic, Jędrzejowa... I zawsze polskie serce płaciło za złudzenia! A ile takich złudzeń widziała i rozwiła *Warszawska* przez cały wiekowi z górą okres isinienia, aż do ostatniej doby! Wspomnienia... Tak, wspomnienia, ale o szlachetnym, dobrym dźwięku!

Więc dziś, gdy odszedł ten, co ostatnio sterował nawą *Gazety*, gdy zamknął oczy na zawsze ostatni jej z rodu Lesznowskich redaktor, kładę je na tę świeżą trumnę od wsi polskiej ze szczerem westchnieniem i żalem.

Niech mu ta ziemia lekką będzie.
KAZ. LASKOWSKI.

STANISŁAW LESZNOWSKI.

Dziennikarz z dziada-pradziada, dziennikarz z krwi i kości. Pochodził z rodziny, która w ciągu trzech pokoleń wydawała najstarszy i, w swoim czasie, najbardziej wpływowy i najpoważniejszy dziennik w królestwie, *Gazetę Warszawską*.

Stanisław Lesznowski urodził się w r. 1848.

Po ukończeniu studiów prawnych pracował przez pewien czas w sądownictwie.

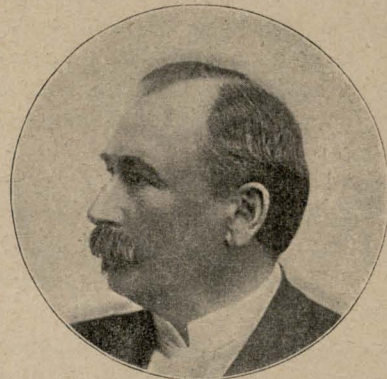
Ale po śmierci stryja dał ujście w rodzonymi zdolnościami i skłonnościami, obejmując *Gazetę Warszawską*, dziennik rodzinny. Od r. 1875 prowadzi ją razem z Józefem Kenigiem.

Po rozwoju dziennika z

przed powstania jest to nowy okres świetności. *Gazeta* jest czytana i żywo komentowana, występuje w imię zachowawczości przeciwko ówczesnym pozytywistom, występuje z werwą i temperamentem.

W r. 1896 Kenig przechodzi do *Słowa*. Ta strata, jak również założenie dziennika zachowawczego, żywszego i wojowniczego, odbija się na losach *Gazety*. Jakkolwiek zawsze prowadzona zrećnie, upada powoli i w niespełna lat dziesięć potem przechodzi w ręce nowego stronnictwa, „Spójni”. To przejście okazuje się dla jej losów fatalne: z rozkazu władzy dziennik, liczący z górą sto lat istnienia, kończy swój żywot. Stworzona na miejsce jej *Reforma* wlecze już tylko krótkotrwały żywot, jak i rodzicielka jej, „Spójnia”.

Te zmiany wydawnicze są także końcem kariery redaktorskiej Lesznowskiego. Ale dziennikarzem pozostaje zawsze. Jak przed laty, tak i teraz, reprezentuje dziennikarstwo polskie na kongresach międzynarodowych, a jeszcze przed paru tygodniami w imieniu Warszawy występuje na zjeździe lwowskim. Pozbawiony organu własnego, zabiera często głos na szpaltach innych pism. I pozostaje zawsze jedną z najpopularniejszych postaci na bruku warszawskim, powszechnie znanym i lubianym „panem redaktorem”. Wielkie zalety towarzyskie, stała pogoda umysłu i charakteru, wielki takt w postępowaniu z ludźmi, nawet z przeciwnikami, sprawiały, że Lesznowski był jednym z rzadkich, którzy nieprzyjaciół nie mieli, i to w tym zawodzie, gdzie o wrogów najłatwiej. Że wszyscy widywali i spotykali go niemal codziennie, nagły zgon jego wywołał wielkie wrażenie. A co więcej, śmierci jego towarzyszy żal wszystkich, którzy go znali, oraz serdeczne współczucie dla osieroconej rodziny.



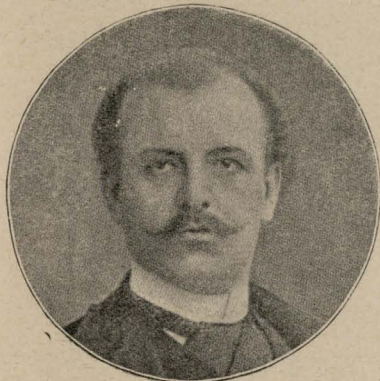
Stanisław Lesznowski.



Wyrowadzenie zwłok ś. p. Stanisława Lesznowskiego z kościoła św. Krzyża, dnia 2 b. m.

JAN RESZKE.

Największa opera francuska, paryska „Narodowa Akademia muzyczna”, nie może do dziś przeboleć straty; ustąpienie z jej sceny Jana Reszkego



było dla niego ciosem ciężkim, nie do powetowania. Jeden z największych śpiewaków, jakich Paryż słyszał kiedykolwiek, najwspanialszy „Zygfryd” — usunął się ze sceny, aby odpocząć. Tak się mówiło: „aby odpocząć”, albowiem

ten świetny artysta pracuje dziś ciężiej, niż sobie to wyobrazić można: uczy innych swej nieporównanej sztuki, kształci całe zastępy tych, o których sądzi, że potrafią skorzystać z nauki. Reszke mógł śpiewać jeszcze długo; znał sztukę zachowania złotego metalu swojego głosu; kiedy przed trzema laty urządził dla ścisłego kółka w prywatnym swoim, przeszłynie urządzonym teatrzyku jedyne w swoim rodzaju przedstawienie „Cyrulika sewilskiego” z Adeliną Patti i bratem swym Edwardem i kiedy sam zaśpiewał, nie chciano wierzyć uszom: wielki artysta śpiewał, jak za najlepszych swych czasów. Dziś, kiedy przy lekcji zaśpiewa frazę, wystarczy, aby się zdumieć.

Sława Reszkego wszystko już o nim powiedziała; nazwisko wielkiego polskiego artysty, który sobie zdobył bez trudu największe sceny świata, znane jest na obu półkulach. Więc tylko o jego szkole należy powiedzieć słów kilka, o tej szkole, do której wstęp jest trudny, gdzie na liście uczniów widniały przed kilku miesiącami takie dwa nazwiska: Slezak, śpiewak kameralny z cesarskiej Opery wiedeńskiej, i Knot — z opery monachijskiej. Dwóch znakomych śpiewaków z dwóch najlepszych oper europejskich przyszło do przekonania, że w szkole Reszkego można udoskonalić sztukę swoją, doskonałą gdzieindziej przez całe lata.

Mimo około trzydziestu lat wędrówki ze sceny na scenę, mimo niesłychanych tryumfów, mimo nieprawdopodobnych honoraryów, Reszke zakłada wreszcie w Paryżu szkołę. Umiano to ocenić — zachwyty dla śpiewaka zmieniły się w poważanie dla pedagoga, który nie ma sobie wielu równych pod każdym względem, bo i pod tym także, iż, gdzie widzi niemożność środków u polskiego ucznia, a widzi zapał i talent, zrobi wszystko, nie żądając niczego wzamian, prócz pilności w naukach, aby biedny Polak mógł zdobyć to w przyszłości, co jemu uświetniało przeszłość. Stąd taka ogromna miłość u uczniów, którzy znaleźli w wielkim tym artyście nie tylko mistrza, lecz opiekuna, nie żałującego pracy i środków.

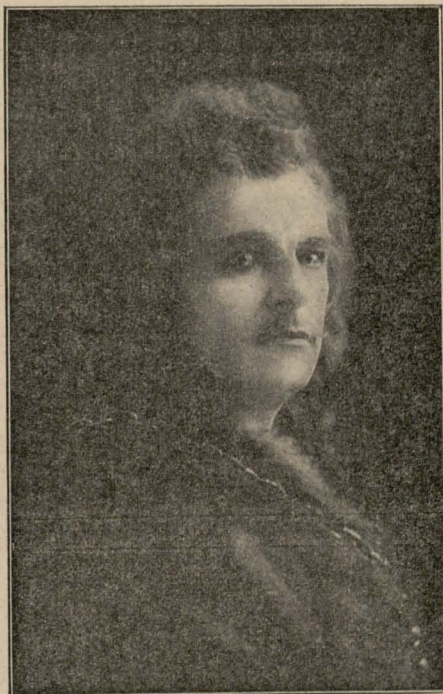
Reszke nigdy nie ustaje w połowie drogi; kogo wziął w opiekę, tego doprowadzi z pewnością do końca; wynajdzie mu scenę, użyje wszelkich środków, aby uzyskać debiut, sam udaje się z uczniem do Londynu czy do Monachium i, jak na takiego niezwykłego nauczyciela przystało, sam mu szepnie ostatnie słowo zachęty z za kulis...

Każdy w Polsce wie, kto jest Jan Reszke; lecz przypomnijmy kilka dat z jego wspaniałej kariery artystycznej.

Jan Reszke urodził się w Warszawie, gdzie się urodzili również Edward i Józefina Reszkowie. Wypastowała tę trójkę artystów, oddanych sztuce duszą i ciałem, z których każde pozostało Polakiem, dobrym i szczerym, mimo tylu lat, spędzonych wśród obcych. Jan Reszke pobiera początki nauki w domu, następnie udaje się po naukę do Włoch; nauczycielami jego byli: Ciaffei i słynny baryton Cotogni. Ciaffei osądził, że Reszke posiada wysoki głos barytonowy i przysposabia go do repertuaru w tym rodzaju; Reszke debiutuje tedy w r. 1874 w roli Alfonsa w „Faworycie”.

Śpiewa role podobne, między innymi nieporównanie Figara w „Cyruliku sewilskim”, przez lat kilka już w Paryżu, gdzie dopiero profesor Sbriglia zwraca go do repertuaru pierwszych tenorów. I oto Reszke odnosi niebawem sukces, jako śpiewak i aktor, w „Robercie Dyable” na scenie Opery w Madrycie w roku 1881. Wraca następnie wielki artysta do Paryża i śpiewa na scenie włoskiej, założonej w Paryżu przez Wiktora Maurela. Już w roku następnym ukazuje się polski artysta w Wielkiej Operze paryskiej, w której śpiewa „Cyda” tak wspaniale, że Paryż od tego dnia uważa go za najlepszego artystę Opery.

Rolą tą rozpoczyna ogromny swój repertuar, wzbogacony ciągle i ciągle doskonalony. Reszke doprowadza wtedy sztukę swoją do doskonałości i wyjeżdża na *tournee* artystyczne, rozpoczynając od rodzinnego swego miasta, od Warszawy (1889). Śpiewa następnie w Petersburgu, Monte-Carlo, w Londynie, wreszcie w Ameryce. Wszędzie zdobył sobie publiczność nie tylko nieporównanym głosem, lecz i mistrzostwem gry, w której była swoboda, zapał, kultura i umiejętność. W r. 1893 wraca do Opery Paryskiej, w której śpiewa *Romeo i Lohengrina*; mimo niesłychanych starań Opery, Reszke opuszcza ją znowu, aby odbyć podróże do Londynu i Ameryki, dopiero w r. 1898, na-



Reszke, jako „Zygfryd”.

stępnie 1900 śpiewa dłużej w Paryżu. Jeden z wybitnych krytyków paryskich pisze w tym czasie: „Wrócił nie ten sam Reszke, wrócił wspanialszy jeszcze!”

Słynna już dziś jego szkoła znajduje się przy prywatnym pałacyku Reszkego w bogatej dzielnicy Paryża; tworzy ją mały, przeszliczny teatrzyk na dwieście do trzystu osób. Tu się odbywają lekcje od rana do nocy; słychać tylko głos śpiewaka czy śpiewaczki, a od czasu do czasu wspaniałych kilka taktów, zaśpiewanych przez Reszkego. W poczekalni czeka swej kolei cały tłum, złożony z uczniów najrozmaitszych narodowości, z najdalszych miejscowości. Sam Reszke uczy tylko najlepszych; resztę przygotowują mu jego asystenci, również świetni nauczyciele. Ogładzony przez nich uczeń przechodzi dopiero w ręce samego mistrza.

O miejsce w szkole Reszkego tak jest trudno, że się o nie odbywają... podjazdowe walki; kiedy jeden z uczniów odchodzi, aby rozpocząć karierę sceniczną, jest już na jego miejsce stu kandydatów; Reszke robi próbę z każdym, nikomu nie odmawia, lecz przyjmuje *tych tylko*, którzy mają *wszystkie* do tego dane, a jeśli je kto ma, przyjmuje go bez względu na to, czy go stać na opłacenie nauki, czy go nie stać, szczególnie kiedy zjawi się Polak z pięknym głosem. Takiego przyjmuje Reszke doprawdy ze zradością; znajduje zawsze słowa zachęty, zawsze pomoże, zawsze przyczyni się, a czyni to naturalnie, pięknie i nie-

widocznie; pracuje nad ulubionymi swoimi uczniami z poświęceniem, z wyęczeniem wszystkich sił.

Szkoła Reszkego wydała dotąd cały szereg śpiewaków i śpiewaczek, mających już głośnie imiona, śpiewających obecnie w największych operach świata: jest pomiędzy nimi Moore i Davey, świetna Maggie

Teyte, śpiewająca w Operze Komicznej, Bourron z opery w Nizy, słynny dziś już Guardabassi śpiewaczki: Marcel (Opera wiedeńska), Stevens (Covent Garden w Londynie), Cahier (Opera wiedeńska), Edvina, Lys i Green (Covent Garden), Wert-

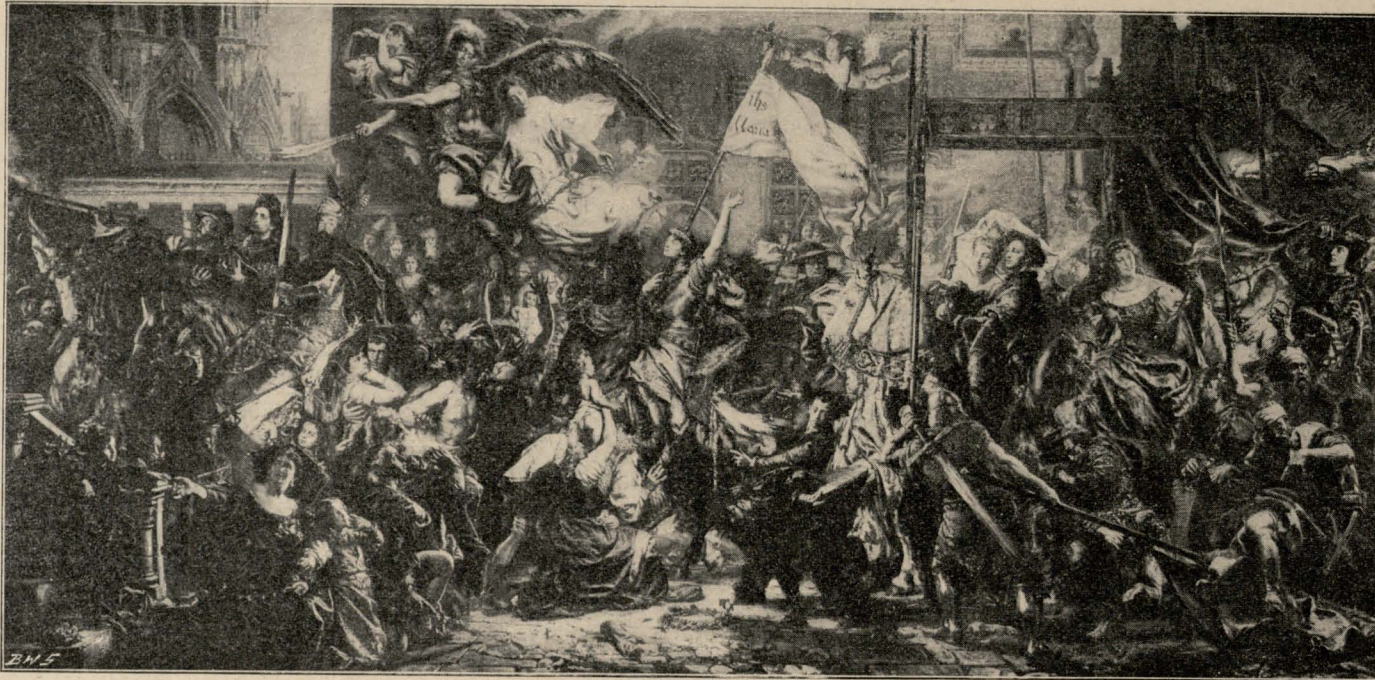


Reszke, jako Raul w „Hugonotach”.

heim i Salvatini (Opera berlińska), Le Forna (New York), Holtzman i Lorraine i Rancenberg i Clark (New York), Cutty (oper w włoskie). Prócz tych przeszli przez szkołę Reszkego znani już przedtem śpiewacy, którzy przybyli do polskiego artysty po doskonałość, więc: Knot i Slezak, panna Vix z Opery Komicznej, Abot i Burger, Fremstad z Metropolitan Opera w Nowym Jorku, pani Caro Lucas z Opery paryskiej, Martin z Nowego Jorku i Rappold, Kirby Lunn z Covent Garden, Stolzenberg z Wiednia, Howard z Berlina, Nikolaieff i Foresta z Petersburga. W szkole tej wykształcił się szereg śpiewaków koncertowych, jak Seagle, jak panie: Hochtaedler, Reybold, Andersen, Florence Stevens, Lund, Loeventhal.

Ile jeszcze różności śpiewackich wyjdzie ze szkoły Reszkego, niewiadomo, lecz chyba wiele jeszcze, nikt bowiem do niej nie wejdzie, kto nie ma wiele obiecujących zadatków na rozwinięcie wielkiego artyzmu w przyszłości. Nad tem czuwa wspaniały ten nauczyciel, jakim jest Reszke, który nie chce tracić czasu na pomaganie artystycznym maniom albo bogatej próżności. Nie o honoraria mu bowiem idzie, lecz o sztukę, której służył całe życie, służył pięknie i godnie. Zawsze był dobrym Polakiem, dziś składa tego dowody na każdym kroku; gromadka uczących się u niego Polaków odnosi się do niego z zaufaniem i miłością. Kilku z jego polskich uczniów ma przed sobą karierę otwartą, Reszke doprowadzi ich daleko. Wspaniałym głosem obdarzony tenor, Bronistaw Romaniszyn, wprost ze szkoły Reszkego znajduje się na scenie Opery paryskiej. Dla Warszawianki, panny Maryi Aleksandrowiczówny, nie ma wielki artysta dość słów pochwały i zachęty; wróży jej karierę niepowszednią. Panna Aleksandrowiczówna, córka tak dobrze znanego w Warszawie nauczyciela śpiewu, ma rzadko piękny głos i najpiękniejsze sceniczne warunki. Nie ulega kwestyi, że młodzianka ta śpiewaczka zabłądnie kiedyś, jako gwiazda sceniczną. To samo znana już z estrady koncertowej we Lwowie pani Stefania Calvas Długoszowska, posiadająca przeszliczny głos sopranowy i przeszliczną sceniczną postawę. W gronie uczennic i uczniów Reszkego, których trudno wyliczyć wszystkich, wiele nadziei budzi Irena Zbierzchowska, żona znanego poety, i panna Irena Krówczyńska.

Aby się tak stało, wszystkich sił swoich dołoży ten nadzwyczajny nauczyciel, zawsze zapracowany, zawsze wesóły i z polską rubaszny, uprzejmy i gościnnie, szanowany przez cały Paryż artysta, kawaler Legii honorowej, Polak całą duszą — Jan Reszke.



JOANNA d'ARC

JAN MATEJKO

DZIEWICA ORLEAŃSKA

(W OŚWIETLENIU WSPÓLCZESNYCH.)

W XV wieku nie było jeszcze na świecie dziennikarzy. Dlatego żaden specjalny korespondent nie opiewał wielkich czynów Dziewicy Orleańskiej, i dlatego te relacje współczesnych, które o niej mamy, odznaczają się niezmierną prostotą. A mamy relacje, bo, jakkolwiek nie było dzienników, za to byli ludzie, prowadzący „dzienniki”, i ludzie, pisujący obszerne listy. Takich nam dziś brak.

Oto Antonio Morosini, znakomity patrycyusz wenecki, szlachetny kupiec i właściciel okrętów, przez lat trzydzieści (1404—1434) ani na dzień jeden nie przerywał dziennika. Do tekstu wciągnął dwadzieścia pięć przepisanych dosłownie listów, przeważnie delegata Wenecji Giustianiniego, z Bruges pochodzących i czyny świętej dziewczeczki z Domremy opiewających.

Te listy są z kolei streszczeniami obszernych relacji bezpośrednio z pola bitwy. Czuć w nich ufność, wiarę i radość z czynów Joanny. Nic dziwnego: Flandrya nie sprzyja polityce angielskiej.

„Pasterka owiec”, tak się zwie u nich Joanna, przedstawiona jest, jako dziewczica anielska i czysta, pełna potęgi czarownicy i nieziemskiej. „Niech Bóg jej dopomaga!... Idzie jej coraz lepiej”... mówi Giustiniani. „Mówić wam będę o wielkich czynach wdzięcznej Dziewicy francuskiej, przez Boga posłanej, by odrodzić kraj ten, prawie zgubiony” — czytamy dalej. A po wzięciu Paryża mówi korespondent: „Podobało się Bogu, żeby Dziewica nowe odniosła zwycięstwo. Oto wielka nowina, którą świętem i ogniami sztucznymi obchodzić należy”...

Po szeregu zwycięstw przychodzi kres. Pojmali wilcy dziewczeczkę. „Anglicy mówią — czytamy — że, gdy ta dziewczica umrze, fortuna odwróci się od króla Karola. Otóż niech Bóg zachowa i broni, aby się tak stać miało!” Życzenie zostało spełnione. Mimo chwilowych klęsk, podniesienie uczuć patriotycznych za sprawą dziewczeczki było tak wielkie, że Anglicy zostali niebawem z Francji wypędzeni.

Na przestrzeni walk dziejowych Anglicy nienawidzili dwoje bohaterów Francji: Joannę d'Arc i Napoleona. Oboje zgubili. Obojgu po latach wielu oddali sprawiedliwość.

Ale współcześni gnębią Joannę pamfletami. I to nie tylko Anglicy, ale cały obóz polityczny angielski, czyli znaczna część Francuzów, Burgundya z Filipem Pięknym i jego stronnikami, miasto Paryż do czasu. Z tej strony działanie Dziewicy Orleańskiej wygląda na przygotowany z góry scenariusz, pod którym niema treści. Ale pod Orleanem już mówią o czarach; panika przybiera rozmiary zaskrajające. Świadczy o tem raport do króla, który znał z pewnością Szekspir, kiedy w usta Talbota (Henryk VI, cz. I, akt I sc. 3) wkłada następujące wyrazy:

„O moje męstwo, moja siła, moja odwaga! Anglicy nasi w rozsypce! I nie mogę ich zatrzymać! I to kobieta, ubrana w zbroję, pędzi ich przed sobą! Oto ona, oto ona... Jak blisko! Między nami dwojgiem teraz sprawa! Dyable, czy dyabla samico, zażegnam twe czary! Tak! Jesteś tylko czarownicą! A duszę twoją wysłę wprost do szatana!”

Sąd kościelny skazuje ją na stos. Pisarz kapituły i parlamentu pisze o niej chłodno i bez osobistego wyrazu. Znowu, daleko, nad Tybrem, znajduje sprawa Joanny sympatyczny odgłos. Papież Pius II poświęca jej sympatyczne wyrazy w swych pamiętnikach. A kleryk francuski, przed koronacją Karola jeszcze, pozostawia następującą o niej wdzięczną opowieść:

„Pewnego dnia Dzieweczka prosi króla o podarunek. Nie mniejszy, niż królestwo Francji. Po chwili namysłu król, zdumiony, zgodził się na ten dar królewski. Joanna, przyjmując go, zwróciła się do otoczenia ze słowami: „Oto najbiedniejszy kawaler królestwa” — i wskazała Karola. Zaraz potem oddała wszechpotężnemu Bogu dar otrzymany. I po chwili, słuchając rozkazu Boga, nadała Karolowi królestwo. O czem została spisana odpowiednia karta”.

Nie mniejszą popularnością cieszy się Dzieweczka u współczesnych Niemców. Anonimowy autor mówi o niej, że „we dnie wykonywa więcej pracy, niż trzech najtęższych i najdzielniejszych rycerzy. A w nocy pędzi twardo czas, bardziej surowa, niż Kartuz w swojej celi, klęczy na gołych kolanach, a z oczu płyną jej łzy”...

W obozie francuskim, tym, w którym walczyła, czyny jej służą za natchnienie mnogim przygodnym poetom. „Precz, Anglicy, dumni, precz! — mówi drobny poemat okolicznościowy. — Za wołą króla Jezusa, Joanna, słodka dziewczeczka, wypędzi was z tej krainy”.

Krystyna de Pisan, znakomita poetka, zaczyna duży poemat swój od zaznaczenia, że „w roku tysiąc czterysta dwudziestym dziewiątym znowu zaczęło świecić słońce”:

Estera, Judyta i Debora
To damy wielkiej wartości,
Przez które Bóg odrodził
Swoj lud, bardzo znękany.

Więcej zrobiła ta dziewczeczka, mówi dalej i, przed wzięciem Paryża, wzywa wrogów:

Opuście rogi swe, Anglicy,
Bo oto mał na szachownicy.

Tak więc odrazu pomiędzy współczesnymi składa się podniosła i czysta legenda, promieniająca naokoło tryumfu i męczeństwa pasterki z Domremy. A gdyby nawet dziś historia usiłowała legendę obniżyć, do zwykłego działania naturalnych przyczyn sprowadzić, nie dokona tego wątpliwej wartości dzieła, zwłaszcza wobec faktu, nie ulegającego zaprzeczeniu, faktu wyzwolenia za sprawą Joanny d'Arc terytorium francuskiego od najazdu obcego.

Potężna a prosta, skromna a dumna postać, naokoło której owijają się nic legendy, nakazuje poprosić szacunek. Jest ona jednym ze szlachetnych wcieleń kultury francuskiej, rycerstwa bez strachu i skazy. Póki na świecie istnieć będą uczucia uznania dla wszystkiego, co piękne i wzniosłe, Dziewica Orleańska będzie miała swoich stronników, wielbiących jej dzieła, które przetrwało wieki, zakładając podwaliny jedności państwa francuskiego.





Berek Joselewicz (portret ze zboru wyznaniowego w Warszawie).

Berek Joselewicz.

Przed stu laty, dnia 5 maja, położył życie na polu chwały, w potyczce pod Kockiem, podpułkownik strzelców konnych, szefostwa Turny, Berek Joselewicz. On sam, najniższego stopnia sztabowiec, był podrzędnością wielkiej epoki napoleońskiej obok posągowych postaci Kościuszki, Dąbrowskiego, Kniaziewicza, księcia Józefa, ale przez swoje pochodzenie, cywilną i wojenną odwagę urósł do znaczenia symbolu, okrył się patyną historyczności i przeszedł do panteonu wielkich wspomnień. Gdy wódz narodowego ruchu rzucił hasło: „Kto nie z nami, ten przeciw nam,” gdy w usiłowaniach wyzwoleniczych starał się od podstaw całe pociągnąć społeczeństwo i skupić w jednej myśli i w jednym zamierzeniu, pojawił się na widowni Berek, syn Josła, uzupełnienie trójjedności nowych żywiołów, do życia społecznego zbudzonych, chłopstwa i mieszczaństwa, uosobionych w Wojtku Bartosie i Janie Kilińskim.

Faktor powieszzonego przez powstanie biskupa wileńskiego, Massalskiego, wysunął się z ciemnego, okrążonego zupełną odrębnością gheta zabobonów, płomiennie przemówił do współplemieńców, olśnił i oświetlił zaskorupały i wyłączny ich widnokrąg piorunową iskrą, otworzył im na oścież wierzeje do innego bytu i rozwoju, do złączenia się i szczerego zespolenia z gniazdową, rdzennie domową ludnością. Występując pod widomym znakiem Polaka wyznania mojżeszowego, wcielił w czyn obywatelski program postępowych postów sejmku czteroletniego, Butrymowicza, Linowskiego, Kołłątaja, był jakby potężnym odgłosem przełomu za Wogezami, stawiającego prawa człowieka wyżej nad przypadkowością urodzenia, stanu czy religii. Pułk żydowskich ułanów, wystawiony za zezwoleniem Kościuszki przez Berka, zginął doszczętnie w czasie obrony Pragi przeciw Suworowowi i obfitą daniną krwi zapieczętował pierwsze próby przyswojenia naszemu narodowi wiecznych tułaczów, powieściowych Ahaswerów.

Na gruzach rozwalonej państwowości polskiej nie odstąpił Joselewicz swoich ideałów, poniósł je do niewoli austriackiej, na wychodźstwo do Francji i w szeregi legionowe czy za Alpami, czy nad Dunajem, w organizacji Kniaziewicza. I chociaż nieraz przyszło mu karmić się gorzkim piótnem docinków i szyderstw za swoje pochodzenie, chociaż milcząco połykać musiał nielitościwe duczanie karłów umysłowych, wytrwał na stanowisku z zapartym tchem, zamykał usta opatentowanym szlachectwem prześladowcom świetnością czynów i ofiarnością w przeprawach wojennych. Sokolnicki obdarzył go niezwykłym zaufaniem, powierzając mu odprawienie znacznej części konnicy polskiej po zawarciu układu w Luneville do Włoch. Z ostatecznym rozwiązaniem formacji Dąbrowskiego przeszedł Berek pod sztandary francuskie w korpusie Mortiera, księcia Treviso, brał udział w zajęciu Hannoweru, a na wiadomość o tworzeniu się oddziałów polskich przeciw Prusom wstąpił niezwłocznie w narodowe szeregi, aby w nich uszczknąć świeży laur w bitwach pod Tczewem i Friedlandem. Ze stylu, sposobu postępowania, należał do świetnej plejady ludzi, niosących w piersiach nieugaszonego zapału dla ojczyzny, idących za siedem gór i siedem rzek z jej imieniem na wargach, zawsze w przeświadczeniu i przekonaniu poświęcenia się świętej rzeczy, świętemu celowi. Z dwiema dekoracjami, orderem legii honorowej i krzyżem *virtuti militari*, przeszedł w stopniu szefa szwadronu do 5-go pułku strzelców konnych Księstwa Warszawskiego, zapełnionego kwiatem młodzieży polskiej, dowodzonego przez wybornego kawalerzystę, Turnę, i podkomendnych: Kurnatowskiego, Umińskiego i Piaseckiego.

Na nowem stanowisku odwdzięcza mu się społeczeństwo dowodem niezwykłego zaufania, jakby pragnęło zatrzeć przykrości, wyrażone w obozie Kniaziewicza.

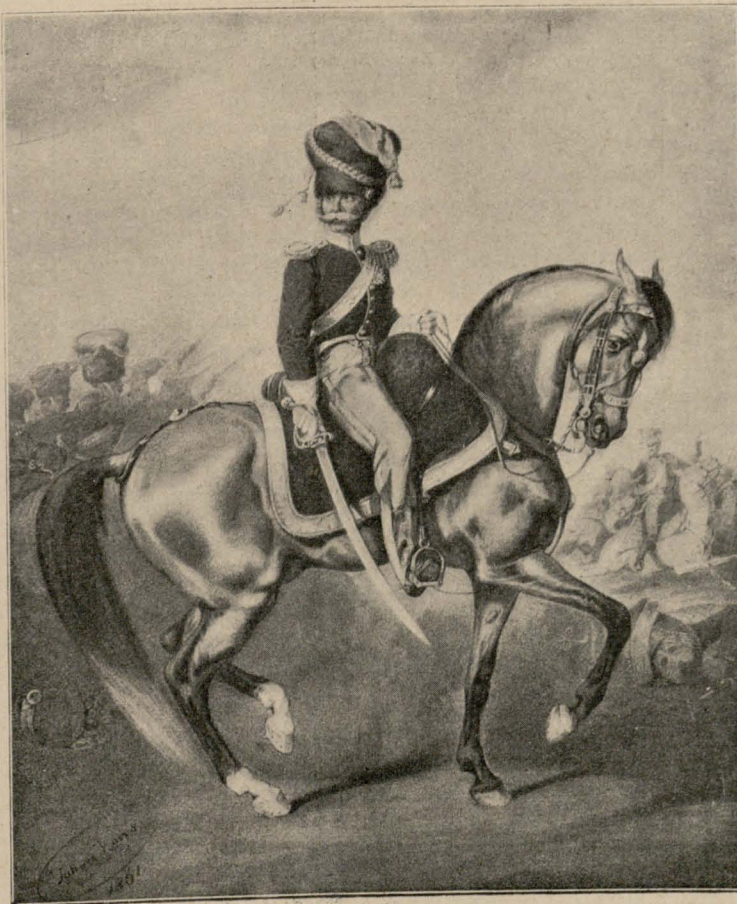
Przyjęty do łoża wolnomularskiej „Bracia Polacy zjednoczeni”, odłamu „Wielkiego Wschodu”,

najczystszej krynicy uczuć patriotycznych i bujnego źródła marzeń o dziele wskrzeszenia, brał udział w misteryach masonskich z świetnymi generałami, z księciem Józefem, z najwyższymi stopniami wojskowymi. Otoczony już aureolą wziętości, rozgłosu, szczerzego poważania, nie wyparł się religijnych tradycji, sprowadzał od czasu do czasu zamieszkałą na Litwie żonę Ryfkę, staroświecką, pobożną niewiastę, i z koszar Mirowskich udawał się z nią do domu modlitwy. Po wybuchu wojny między Francją a Austrią w 1809 roku bił się z swym pułkiem pod Grzybówem i w starciach przy wzięciu przedmostowego szańca naprzeciw Góry, poczem zlecono mu kroczyć w przedniej straży kolumny, maszerującej na Osieck i Żelechów, ku Galicyi zachodniej. Piątego maja zawikłał się pod Kockiem w potyczkę z huzarami pierwszego cesarskiego pułku z komendy hr. Magyi i w prawdziwie bohaterskiej walce w niekrytej ujeżdżalni wojskowej wyzionął ducha pod kopytami końskimi, odrzuciwszy wezwanie do poddania się na łaskę i niełaskę. Ofiarnym zgonem swoim uniemożliwił wrogowi zerwanie mostu na Wieprzu, ułatwił narodowej armii możliwość dalszego posunięcia się w zwycięskim pochodzie.

Wodzowie austriackiej jazdy nie mogli wydziwić się nagłości, błyskawiczności ataku i w sprawozdaniach do najwyższych władz zaznaczyli demoniczną i niepospolitą odwagę poległego uczciwą śmiercią żołnierską Joselewicza. Wdzięczny lud okoliczny usypał na mogile dzielnego wiarusa kopiec i upamiętnił szlachetną postać w piosence, nuconej w Lubelskiem i Siedleckiem: „W tym wypadku huncwockim zginął Berek pod Kockiem”. Na świeżo wykopany grób posypały się kwiaty powszechnego żalu, współczucia, obudziła się świadomość wyniesienia nieboszczyka do godności sławy i w krwawym pocie dobrze zasłużonego, trwałego uznania.

W czasie posiedzenia warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk 22 grudnia 1809 r. złożył hołd ceniom wojownika prezes Rady Stanu, Stanisław hr. Potocki, kreśląc kilku rysami wizerunek zgasłego, odbłask rycerzy, których „śmierć niegdyś Syonu opłakiwały córy”. Wywiązał się też z obowiązków wdzięczności władca Księstwa, król saski, Fryderyk August, wyznaczając wdowie i synowi Joselewicza dożywotnie pobory emerytalne w wysokości 1800 zł. p. rocznie.

Dziwnie ponętna i piękna, z jednolitego odlewu postać Berka przemówiła z zaświatów, z wieczystej nieśkończoności do żywych, stała się programem, myślą, wysoko powiewającą chorągwią. Ten eks-faktor Masalskiego, w pułkownikowskiej ciemno-zielonej kurtce, lśniącej epoletami na wierzchach ramion, pokrytej dekoracjami chwały, z wysoką, niedźwiedzią czapką, osłaniającą głowę o mądrych, bystrych oczach, trochę lisim wyrazie, zdobną w sumiasty, rozstrzępiony wąs, już snem wiecznym spowity, był silnym obiegowym dźwiękiem, duchem-siewcą idei i wskazań ukochania ziemi rodzinnej, swojskiej doli i niedoli. Wstaje też, pręży się i wcielił w czyn jego hasło w przełomowych momentach narodowych, jakby wyteżona i odradzająca się, a bardzo niespożyta moc. W początkach listopa-



BEREK JOSELEWICZ. Podł. Juliusza Kossaka.

dowej zawieruchy zamierzali Żydzi, dla podkreślenia pragnienia zgody i pojednania się z całością społeczeństwa, postawić pomnik Joselewiczowi, widomy symbol jego usiłowań, wzniosłości i wielkich pożądań.

Syn kościuszkowskiego żołnierza, Józef, odnawia program ojca, kopiuje jego sposób i rodzaj postępowania, zbiera oddzielny starozakonny zaciąg, marnuje jednak najlepsze chęci, wlecze się, jak cień, za dostojnością rodzica—i okrywa się jej szkarłatem. W wynikach rozbijają się i rozpadają dążenia naśladowców świetnego prototypu, toną w otchłani obopólnych nieporozumień i wyłączości.

Mimo skrzywienia się i spaczenia wielu porywów, mimo zmrożenia ich przez nieugiętą rzeczywistość, myśl Berka zapłodniła całe pokolenia, wywabiła z ukrycia, jak powiew wiosny, obfitą literaturę w sprawie żydowskiej, wzbogaciła przez to ducha polskiego i pchnęła go o znaczny krok naprzód w kierunku wyświecenia i rozważenia zagmatwanej kwestyi. Joselewicz, odosobniony, oderwany, prawie wyjątek w armii narodowej, nie został nim w powszechnym odczuciu. Na naszej karcie dziejowej jest wytyczną linią, dużym prądem, przenikającym bieżące życie i zawsze jeszcze otwarte zagadnienia.

ERNEST LUNIŃSKI.

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

„*Beatrix Cenci*“, tragedia Słowackiego, wprowadzona na scenę Teatru Wielkiego w dniu jubileuszu i benefisu p. Wandy Barszczewskiej. — Gustawa Thurnera „*Wielki Dziennik*“, komedia trzyaktowa, na scenie Rozmaitości.

Słowackiego „*Beatrix Cenci*“ jest fragmentarnym brulionem tragedii, doprowadzonej przez Małeckiego, z wielką biedą, do jakiegoś takiego ładu i porządku i wydanej przezeń, jako „dzieło” pośmiertne, którego sam Słowacki, oczywiście, w tej formie, nie tylko nie przeznaczał na scenę, ale drukiemby nawet nie ogłosił.

Pomimo to, trzykrotnie uczyniono próby pokazania „w świetle kinkietów” teatralnych kalejdoskopu czternastu obrazów, tworzących—domniemanie — całość dramatycznej koncepcji Słowackiego. Wystawił „*Beatrix Cenci*” teatr krakowski, jeszcze za dyrekcji Koźmiana, teatr łódzki za dyrekcji Gawałowicza i, świeżo, teatr warszawski. Wszystkie te trzy próby stwierdziły, i bodajże bezapelacyjnie, że najpomysłowsza scenizacja, oraz najpiękniejsza i najefektowniej — a nawet najdoskonalsza gra aktor-



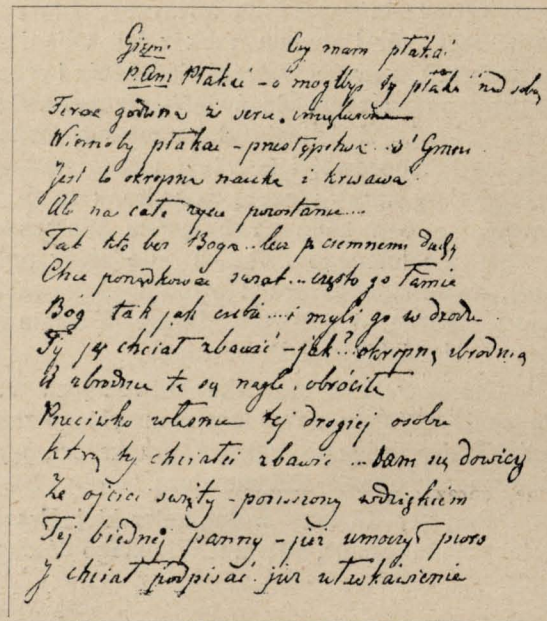
Natalia Siennicka w roli tytułowej „*Beatrix Cenci*“.

ska nie mogą dotworzyć wszystkiego, co pozostało nie dopisane, niedotworzone przez Słowackiego. Zamigotały tylko brylanty poezji, porozrzucane tu i owdzie po szkicach i notatach dramaturga.

Istnieje przypuszczenie, że to, co wydał Małecki, nie jest ową „*Beatrix Cenci*“, którą Słowacki czytał pani Bobrowej we Frankfurcie, na wiosnę roku 1841, próbując rozegrać w życiu scenę z piątej części Dantejskiego „*Inferno*”. Nie powtórzyła się jednak scena „nad książką” między Franciszką di Rimini i Paolem Malatestą. Tragedya, aczkolwiek bardzo piękna, nie wywołała... przerwy w czytaniu, o jakiej marzył rozkochany poeta. Życie bowiem, niestety, nie jest poematem...

Cała ta jednak kwestya ma wobec pism Słowackiego czysto akademickie znaczenie. Jeżeliby nawet „*Beatrix Cenci*” w pierwszym pomysle, jako dramat, pisany po francusku dla teatru Porte-Saint-Martin, była całkiem inna, niż „*Beatrix Cenci*”, którą posiadamy, jeżeliby pani Bobrowa słuchała przed siedemdziesięciu laty czytania utworu, wykończony do najdrobniejszych szczegółów, okoliczności te wszystkie nie mogą mieć żadnego wpływu na sąd nasz o przymiotach tragedii, uporządkowanej przez Małeckiego.

Pozostaje nam przeto stwierdzić, że, opracowując dzieje rodziny Cencich, nie liczył się Słowacki



Fragment z rękopisu J. Słowackiego „*Beatrix Cenci*“.
Ze zb. L. Méyeta.

wacki bynajmniej ze ścisłością historyczną, wprowadzając np: w grę postać malarza Giani'ego, a nawet podnosząc, może mimowoli, miłość jego i Beatryczy do godności niemal głównego motywu w dramacie. Giani i Beatrix to niemal odmiana Romea i Julii, rzucona tylko na tło ponurej grozy, zbrodni, ohydy, sądów, zabójstw i zgónów na szafocie. W dodatku zbrodnia i ohyda nie rozgrywają się bezpośrednio przed nami, jak np. w „*Rodzinie Cencich*” Shelley'a, lecz, błysnąwszy tylko w szalonym skrócie dwóch pierwszych scen, jakby powierzone zostają przypominaniom trzech Eumenid, raz po raz zjawiających się na scenie. Owóż i dlatego przechodzi na plan drugi główny motyw tragedii Cencich: potworność ojca Beatryczy, a jej samej zbywa na wyrazistości. Reminiscencye szekspirowskie gęsto przeplatają „*Beatrix Cenci*”: po części spożytkowane *in crudo*, po części przestylizowane; tu i owdzie przewiewa po tragedii duch staro-greckich koncepcji i nastrojów.

Dla widowiska scenicznego największy szkopuł stanowią obfite zmiany sceneryi. „*Obrazy*” krótkie, jakby błyskawicowe, a nie sposób, ze względu na warunki techniczne sceny, pokazywać ich w szybkim po sobie następstwie. Mogłaby to uczynić jedynie scena ruchoma, czyli obracana, i wówczas długie z konieczności antrakty między krótkimi obrazami nie rozpraszałyby niemiłosiernie nastroju. Na zbytek widowiska bezantraktowego nie możemy jednak sobie pozwolić.

Dru gi szkopuł stanowi to, co najpiękniejszego, najcenniejszego jest w „*Beatrix Cenci*”, mianowicie precudowny język poetycki Słowackiego.

Wiersz Słowackiego mówić ze sceny tak, aby — współcześnie grając znakomicie — nie uronić żadnej wiersza tego drogocenneści *poetyckiej*, mogą tylko artyści niepowседневnej miary, powiem więcej, specjalnie uprawiający repertuar, takimi nastroszony trudnościami. No, i na zbytek posiadania takich specjalistów scena warszawska też pozwolić sobie nie może.

Wystawiono „*Beatrix Cenci*” w Teatrze Wielkim z pietyzmem, godnym najgorętszej pochwały. Wprowadzono doskonałą i piękną inowację: ramę stałą, ułatwiającą możliwie najszybszą zmianę dekoracyi, a dekoracye te sporządzono z wielką starannością, pomysłowością i smakiem artystycznym. P. Śliwicki raz jeszcze złożył dowód maestryi reżyserskiej, a słyszę, że ani mniej, ani więcej, tylko czterdzieści prób odbyto. Uczyniono tedy wszystko, co możliwe było uczynić dla okazałości i wspaniałości obrazu scenicznego.

Pozostał jednak — szkicem; pozostał ciągiem — fragmentów.

Akcya, jakby poszarpana na pojedyncze, gwałtowne ruchy, stopniowania dramatycznego nie dała, nie spoiła szeregu epizodów w całość, która mogłaby sprawić wstrząsające wrażenie, jeżeliby Słowacki, zaznaczony tylko, zamiar swój doprowadził do końca.

Z artystów, biorących udział w widowisku, jedyna tylko p. Wanda Barszczewska, jubilatka-benefisantka, dała pełny wyraz wierszowi Słowackiego, odtwierając równocześnie postać Lukrecyi Cenci, macochy Beatryczy, zplastyką wielką i szlachetną, tragiczną w wielkim stylu, charakterystyczną. Był to jeden z najwybitniejszych sukcesów w całym zawodzie artystki, której talentowi i kulturze mieliśmy już sposobność na tem miejscu hołd



Bolesław Ładnowski w roli hr. Cenci.



Wanda Barszczewska w roli Lukrecyi Cenci.

złożyć. Natomiast najnieodpowiedniejszej interpretacji powierzono rolę Beatryczy Cenci. Gdyby to nie był Słowacki, gra nieudolna, dykcja całkiem niewyraźna i ton monotonicznie płaczący p. Sienickiej wystarczyłyby dla „położenia”, jak się to mówi w kulisowym żargonie, „Beatryczy Cenci” po pierwszym teatralnym wieczorze. Na szczęście tragedia Słowackiego, nawet tak słaba, jak „Beatrix Cenci” wytrzymała grę i dykcję nawet p. Sienickiej. Ryzykownych jednak eksperymentów w tym rodzaju nie należy powtarzać.

Ogół interpretacji aktorskiej cechowała przede wszystkim: niejednorodność. Jest pewna, wymagająca dłuższego definiowania, obowiązująca względem utworów tego zakroju i charakteru, co „Beatrix Cenci”: konwencyonalna *poza romantyczna*, nadająca interpretacji styl właściwy. Nie poza: koturnowo-klasyczna, lecz: romantyczna. Linii jej nie potrafił utrzymać nawet p. Rapacki (kardynał).

Zespołowi naszemu dramatycznemu trudno z tego względu czynić wymówkę. Zbyt wyłączenie kąpie się w atmosferze salonowości, lub realizmu życiowych powszedniości, aby mógł zmieniać, jak rękawiczkę, cały swój *układ*.

To też, gdy nazajutrz po premierze „Beatrix Cenci”, którą poza wystawą, nie nazwać pomyślną, zeszliliśmy się znów jakby *en famille* w Rozmaitościach na premierze „Wielkiego dziennika”, jeszcze przed podniesieniem kurtyny zapanował na całej sali nastrój zadowolenia i swobodnego humoru... na samo oczekiwanie tego, co nam pokażą zaczyna.

No i nikogo zawód nie spotkał.

Mniemam, że w paryskim teatrze Gymnase, gdzie w listopadzie roku zeszłego wystawiono po raz pierwszy sztukę Thurnera „Le Passe-Partout”, nie grano jej lepiej, niż tu, u nas. Pozwoliłbym nawet sobie twierdzić, że Kamiński, jako Lionel Régis, nie ma tam, w Paryżu, równego sobie. A „Wielki dziennik” u nas nie stoi bynajmniej jedną tylko popisową grą Kamińskiego. „Wielki dziennik” to przede wszystkim istny pokaz specjalnego uzdolnienia artystów naszych do grania takich właśnie sztuk, niezmiernie zręcznych, nie do zbytku głębokich, a z lekka przypominających styl i charakter Scribe’go. W dodatku mieliśmy niezmiernie miły pokaz: reżyserskiej pomysłowości i sprężystości, idący w parze z jeszcze miłszą sprawnością i sumiennością na całej linii wystawy i interpretacji.

Oto co znaczy: tchnąć nowego ducha w dzielne kadry naszej sceny dramatycznej! Jak to teraz wszystko idzie... jak idzie! Istna satysfakcja, no—i chluba.

Sztuka sama daleka od pierwszorzędności. Brisson określił ją: *comédie sentimentale à visées satiriques*. Jak najtrafniej. Gniazdo sztuki stanowi dziennik, wielki, wpływowy dziennik, typowa dziś instytucja publiczna, potężniejsza, niż niejedno ministerium. Kierownikiem-wydawcą dziennika *Passe-Partout*, obracającego krociami, jest typowy „macher”, chłodny, cyniczny, bezwzględny, żądny władzy i używania karyerowicz-aferyzysta, Lionel Régis. Potentat!

Ministrowie zabiegają o jego względy, przekupują go najmocniejsze firmy finansowe, kobiety... admirują go i lecą w jego objęcia, jak ćmy w fascynujący ogień.

Spaliłaby się w nich jeszcze jedna: Jacqueline Heloin, ładna młoda wdowa, którą Régis wypromował na osobistą swoją sekretarkę. Spaliłaby się, jak wiele innych, gdyby nie interwencja brata „Napoleona prasy”, szlachetnego, gburowatego, kroczącego drogą prawdy i prawości Eugeniusza. Czar Lionela przyska; okazuje się, że Jacqueline (w Warszawie: Janina) kocha Eugeniusza, a Lionel. Lionel, zamiast łamania oporu pożądanego kobiety—sam łączy ręce zakochanych.

Skądże ta altruistyczna, nagła dobroduszość w takim człowieku? Hm... a czy nie byłby to czasem: manewr strategiczny, na który zdecydował się szybko gracz nie byle jaki? Arcy-prawdopodobnie. Autor przecie sztuki nie przełamywałby tak karkołomnie psychologii swego bohatera dla...

zakończenia satyry obyczajowej współczesnej przestarzałym—błogosławieństwem.

Szybko, żwawo, połykliwość i dość płytko przebiega lekka komedia przed oczami widzów. Główna jej zaleta: znakomita zręczność i wprawa pisarska. Robota francuska najautentyczniejszej marki.

Zaś Kamińskiego grę warto pójść i specjalnie oglądać. Żadna analiza nie da wyobrażenia o wykończonym do ostatniego drobiazgu żywym wizerunku, w którym złożyły się kompletnie z sobą: inwencja autora i subtelna, dotwórcza, zasiloną przez talent i intuicję, robota aktora.

CZESŁAW JANKOWSKI.

Na rozdrożu.

W gimnazjum klasycznym typu rządowego nauki przyrodnicze, oprócz jednej fizyki, nie były wykładane wcale, stąd całe pokolenie, które wyszło z tych szkół, posiada w wykształceniu swoim lukę bardzo dotkliwą.

Zupełna nieznajomość botaniki, zoologii, mineralogii, chemii i astronomii, a co za tem idzie—zimny, obojętny stosunek do przyrody i mała, prawie żadna umiejętność obserwowania jej życia i zjawisk najbardziej nawet znamiennych—oto cecha wielu umysłów współczesnych.

Ten błąd pedagogiczny, aż nadto jaskrawy i szkodliwy, usiłuje obecnie naprawić prywatna szkoła polska przez wprowadzenie do swych programów możliwie największej ilości godzin, przeznaczonych na wykład nauk przyrodniczych. Jest to niewątpliwie ogromny krok naprzód, któremu szczerze przyklasnąć należy. Zachodzi jednak obawa, aby z jednej strony pod wpływem zbytniego zapału, z drugiej pod wpływem wrogiego stosunku do t. zw. klasycyzmu, mylnie pojmnowanego, jako suchy, filologiczny wykład gramatyki łacińskiej i greckiej—z jednej ostateczności nie wpaść w drugą.

Uznając więc całą doniosłość nauk przyrodniczych, należy zwrócić uwagę na pewne, coraz częściej występujące w programach naszych szkół męskich i żeńskich upośledzenie nauk humanistycznych.

Rzeczą jest zupełnie jasną, iż umysł ludzki dla swego wszechstronnego rozwoju potrzebuje pokarmów rozmaitych, że nie można rozwijać go nadmiernie w jednym kierunku, pozostawiając odłogiem kierunki inne. Na to pozwalać sobie może dopiero specjalizacja, która jednak należy już do studyów późniejszych, gdy zadaniem szkoły średniej jest przede wszystkim *wykształcenie ogólne*. Otóż w tem wykształceniu obok nauk przyrodniczych niezwykle doniosłe posiada znaczenie *historia*, pojęta jak najszerszej, więc przede wszystkim historia kraju ojczystego, potem historia świata, wyłożona nie jako skrót najważniejszych wydarzeń politycznych, ale jako obraz tych dróg, które przebyła ludzkość, zanim doszła do obecnego stanu cywilizacji i kultury.

Bez dokładnej znajomości tak pojętej historii niepodobna określić swego stosunku do społeczeństwa własnego, do innych narodów i do roli i zadań człowieka na ziemi.

Tymczasem zewsząd słyhać coraz głośniejsze skargi, że historia w naszych szkołach nie tylko jest wykładana w sposób, jeżeli można tak powiedzieć, zbyt staroświecki, t. j. z uwzględnieniem szczególnym dziejów politycznych, a z pominięciem dziejów cywilizacji i kultury, ale nadto liczba godzin, poświęconych jej wykładowi, jest *za mała* w stosunku do znaczenia i wagi tego przedmiotu.

Najlepszy nawet nauczyciel historii jest bardzo w wykładzie swoim skrępowany, jeżeli nie rozporządza odpowiednim czasem. Nie może ani wypowiedzieć się szerzej, ani gruntownie oświetlić czy to danej epoki, czy danego procesu historycznego. Uczeń wobec tego dowiaduje się tylko o faktach, ale nie zdaje sobie sprawy z tego, co te fakty wywołało i dlaczego ich następstwa były takie, a nie inne. Odbiera to historii częściowo lub nawet całkowicie jej znaczenie pedagogiczne, zamiast bowiem uczyć, zamiast prowadzić do myśli krytycznej, do zastanowienia i sądu, staje się ona mniej lub więcej barwnym *kinematograficznym* przedstawieniem, w którym więcej nęcą opisy wojen, niż właściwe życie i rozwój narodów i państw.

W ten sposób pokoleniu, które uczy się obecnie, grozi zupełna nieumiejętność myślenia historycznego, t. j. brak, którego nie okupi najdokładniejsza nawet znajomość roślin, zwierząt, kamieni i procesów chemicznych. Jest to brak równie, a może jeszcze bardziej dotkliwy od poprzedniego, i usunięcie go powinno być stałą troską naszych sfer pedagogicznych, oczywiście, w granicach, w jakich to od nich zależy.

Z. D.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał drugi roku bieżącego.

REWOLUCYA W TURCYI.



Armia młodoturcka pod Konstantynopolem.



Walka na Grande Rue de Pera, podczas której został zabity specjalny korespondent *Graphie'a*.

ZJAZD BALNEOLOGÓW W KRAKOWIE.



Przez dwa dni ostatnie ubiegłego tygodnia obradował w Krakowie zjazd balneologów polskich. Przedmiotem ożywionych obrad była, obok kwestyi czysto fachowych, lekarskich, przede wszystkim sprawa podniesienia naszych krajowych, szczególnie galicyjskich zdrojowisk. Wszyscy uczestnicy zjazdu zgodzili się co do tego, że zdrojowiska te w niczem nie ustępują zagranicznym, a pod wieloma względami przewyższają je nawet. Tem energiczniej też domagał się zjazd w uchwalonych ostatecznie decyzjach, aby wydział krajowy i rząd wydatniej, niż dotąd, popierały zdrojowiska galicyjskie, które, w racjonalny i nowoczesny sposób odpowiadający wymogom eksploatacjom, staną się bardzo poważnym źródłem bogactwa krajowego. Obradom zjazdu przewodniczyli dr. Dłuski z Zakopanego i dr. Juliusz Bandrowski z Warszawy.

PORTRETY NA DOBIE.



KATARZYNA MÜNZER-NEUMANNOWA.

W opustoszałych po wystawie Biskego salach zupełnie u nas nieznaną artystką, pani Münzer-Neumannowa — zgromadziła kilkadziesiąt prac swoich. Przechodząc tę liczną kolekcję utworów, olejnych, akwarelowych i rysunkowych, z przyjemnością widziałem manifestację i niepośledniego talentu, i wielkiej artystycznej kultury i pomyślałem sobie, że, jeżeli pani Neumannowa, Niemka z urodzenia, zechce naszej sztuce poświęcić swe twórcze aspiracje, malarstwu polskiemu przybędzie niepowszednia siła artystyczna. Prace pani Neumannowej na oko są skromne, nie rzucają się w oczy blaskiem kolorytu, ani fantazją pomysłów, gdy się jednak przypatrzyć bliżej, ileż w nich pięknych stron talentu, szczerzej natury artystycznej wyszukać można, jak ten światek powszedni żyje, ile ma wyrazu, jak dobrze podpatrzona jest strona bezpretensjonalna życia. Zagranicą artystów tej miary jest dużo, stanowią oni poniekąd tło wystaw, u nas jednak, wobec dorobku ostatnich czasów, taka skromna w swych dążeniach, a tyle umiejąca i odczuwająca artystka jest zjawiskiem zgoła niepospolitem. H. P.



FRANCISZEK REINSTEIN, redaktor „Śmiechu”, znany humorysta, z powodu dwudziestopięcioletniej pracy literackiej.

Konkurs naukowy.

Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia J. Mianowskiego podaje do wiadomości, że z fundacyi Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga przyznana zostanie w r. 1909 nagroda pieniężna imienia profesora Adolfa Pawińskiego w wysokości rb. 600 za najlepszą z ogłoszonych drukim w języku polskim, w ciągu trzech ostatnio ubie-

głych lat, t. j. 1906, 1907 i 1908, pracę, odnoszącą się do historii polskiej. Z dzieł równej wartości naukowej pierwszeństwo do nagrody służy dziełu, mającemu za przedmiot opracowanie materiałów, zebranych przez prof. Pawińskiego.

DOSTOJNA MATKA.



KRÓLOWA WILHELMINA holenderska, która w tych dniach powita córkę, długo oczekiwaną następczynią tronu.

O prawdę.

Od p. Alny Świdarskiej, autorki powieści p. t. „Trudno inaczej”, otrzymujemy z prośbą o zamieszczenie list następującej treści:

Szanowny Panie Redaktorze!

Wobec krążących pogłosek, że w powieści mojej p. t. „Trudno inaczej...” przedstawiłam osoby i fakty prawdziwe, zaręczam słowem uczciwości, że sytuacje, tam opisane, wysnułam całkowicie z mojej wyobraźni, nigdy ich w życiu rzeczywistym nie spotkałam, ani mi nikt o nich nie opowiadał, co gotowa jestem, jako chrześcijanka, stwierdzić pod przysięgą.

Alina Świdarska.

Pokłosie wydawnicze.

Michał Rolle. Z minionych stuleci. Szkice historyczne i literackie. Lwów 1908. Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta.

Jest to zbiór pomniejszych pism historycznych, literackich i obyczajowych, obrazujących przeszłość wschodnio-południowych ziem Rzplitej od XVII do XIX wieku. Skreślone tu zostały sympatycznym piórem miłośnika „minionych stuleci” sylwetki: Seweryna Malinowskiego, dyrektora teatru kamienieckiego, generała Jakóba Jasińskiego,

Tomasza Zana, Sadyka Paszy, Leonarda Sowińskiego, filarety Tadeusza Żebrowskiego, obrońców Zamościa w 1831 r. i inn. Ciekawy materiał zawierają szkice: „Z życia Ormian kamienieckich w XVII i XVIII w.”, „Tajne rosyjskie relacje o formujących się legionach i Kościuszcze”; ważny jest przyczynek do procesu Szymona Konarskiego, oraz dziennik podróży pośła duńskiego, Justa von Juel, z pierwszej połowy XVIII w. Barwny język autorów szkiców i utrzymane w ciepłym kolorystyce charakterystyki postaci, nieraz już zapomnianych, pamięci jednak godnych, czynią lekturę książki p. Rollego miłą i zajmującą.

Stanisława Szadurska. W południe. Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i S-ka.

P. Szadurska nie od dziś występuje w szranki literackie: jest autorką zbiorku liryk p. t. „Fale” (1906), oraz poematu dramatycznego niepośledniej wartości, p. n. „Kain”, którego głównym bohaterem nie jest wszakże pierwszy bratobójca, lecz potomek jego, Jubal, marzyciel-poeta i śpiewak zarzęm, „ojciec grających na arfach i innym muzykiem naczyniu”. Dziś p. Szadurska, która już w poprzednich swych utworach złożyła dowody talentu lirycznego (sceny miłosne Jubala i Ewy), wydała zbiorek wierszy: „W południe”. Ten tytuł kazałby przypuszczać, iż leitmotivem cyklu będzie pełny, potężny akord żaru uczuć i namiętności. Tymczasem podstawą nastroju poetyckiego jest nie „Pieśń nad pieśniami” salomonowa, lecz raczej „Przypowieści” i ten ich werset, najgłębszego smutku pełen: „Marność nad marnością...” Marzycielstwo, tęsknota ku blaskom, „nie płonącym w najżłotse południe”, gorzkie wreszcie przeświadczenie, że rzeczywistość nie odpowie pięknym rojeniem — oto jakie myśli i uczucia wizerają ku nam z kart tej książki, wypełnionej wierszem dźwięcznym, może nie zbyt silnym i głęboko przemawiającym do duszy, ale świadczącym chlubnie o rozwoju talentu młodej poetki.

Wincenty Korolewicz. Książę Popiel, tragedia, Kraków, 1909, G. Gebethner i Sp.

Niniejsza tragedia, a raczej poemat dramatyczny, powstała pod auspicjami Słowackiego i Wyspiańskiego. Treścią „Książę Popiel” przypomina „Balladynę”, zwłaszcza w tytułowej postaci zdezonizowanego Popiela III, który przybiera na się maskę Pieśniarza (jak u Słowackiego — Pustelnika). Forma zaś zewnętrzna i rodzaj przywodzą na myśl „Bolesława Śmiałego” i „Legendę”. P. Korolewicz, autor poematu dramatycznego „Ocknienie”, oraz dramatu „Pod Piramidami”, złożył w utworze niniejszym dowody kultury artystycznej i zdolności literackich, chociaż samego siebie jeszcze nie znalazł. Zwraca na siebie uwagę szata wydawnicza książki, z piękną winiętą okładkową, oraz ilustracja, wyobrażająca Popiela-Pieśniarza. Oba rysunki wyszły z pod ołówka p. Fr. Turka.

Histeryczny taniec.

Słynny komik paryski, którego portret zamieszczamy, oryginalny portret w roli apasza, skomponował słynny dziś w Paryżu i poza Paryżem „Valse-chaloupée” — „taniec apasów”, który zwyciężył popularnością matchiche’a, croquette i cake walke’a. Jest to taniec brutalny, nie przebiegający w pozach, oddawanych z całym realizmem, przytem niesłychanie efektywny. Taniec przytem trudny dla... „amatorów”, ze względu na charakterystyczne jego cechy, podpatrzone przez jego autora u ostatnich Mohikanów rozbojów na paryskiej ulicy. Dearly zdobył w tym tańcu niesłychane powodzenie, głównie też dzięki współudziałowi tancerki, pięknej i płomiennej Mistinguetty, zwanej Yvettą Guilbert podmiejskich teatryków.



MAX DEARLY, twórca „tańca apasów”.

ZMARLI.

ALEKSANDER MOLDENHAWER, jeden z najwybitniejszych prawników naszych, umarł w Krakowie, w wieku lat 69. Ur. się w Warszawie, a studia prawne odbywał w Moskwie i w Petersburgu, poczem poświęcił się sądownictwu. Kiedy przeprowadzono reformę sądową w Królestwie, był prokuratorem sądu apelacyjnego. Po reformie został mianowany członkiem wydziału karnego sądu okręgowego, a następnie prezesem jednego z wydziałów; był jednym z bardzo nielicznych Polaków w sądownictwie. Prócz tego był bardzo wybitnym i uczonym kryminologiem. Jako młody



człowiek jeszcze, wydał rozprawę p. t. „O przeprowadzeniu odosobnienia w zakładach więziennych”, po której nastąpił cały szereg studyów i monografii z zakresie kryminalistyki. Był też wysoko szanowanym członkiem międzynarodowego związku kryminologów, stale uczestniczył w kongresach, głos na nich zabierał, zawsze pilnie słuchany. Mimo takie zajęcia podwójne, starczyło nieboszczykowi czasu i na oddawanie się sprawom społecznym. Był prezesem sekcji kryminalnej towarzystwa prawnego, wielokrotnie członkiem zarządu Towarzystwa Dobroczynności, wreszcie najwyższy może udział brał w zarządzie i organizacji Towarzystwa Osad Folnych. Kolonie poprawcze dla małoletnich bardzo go zawsze interesowały. Badał je zagranicą, porównywał, starał się zastosować widziane ulepszenia i modyfikacje. Kilka lat temu ciężko zaniemógł, ale do zdrowia przyszedł, gdy nagle, podczas chwilowego pobytu w Krakowie, raził go drugi atak apoplektyczny. W s. p. Moldenhawerze traci społeczeństwo wybitnego i zasłużonego obywatela, niepośledniej miary uczonego i zacnego człowieka.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. „ENGLISH CLOTHING HOUSE”.

MEBLE STYLowe M. KALMUS
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

Niniejszem podajemy do publicznej wiadomości, że WODY MINERALNE SZTUCZNE WYROBU WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR” ZAOPATRZONE ZOSTAŁY W NOWE ETYKIETY, zatwierdzone przez Ministerium Przemysłu i Handlu. Zarząd.

Składy na Meble

„SYRENA”
Krak. Przedm. 38

KONIAK URSUS POLECA
DYSTYLARNIA PAROWA
F. JANKOWSKIEGO.

BIELIZNA MĘŻKA I DAMSKA
K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie

NEKROLOGIA.

Wzruszony do głębi przedwczesnym zgonem w d. 28 marca b. r. w Warszawie s. p. Maryu z Choynowskich Bzurowej, chcąc dać wyraz mojemu uczuciu w określeniu zalet tej zacnej kobiety. Jako córka obywatelstwa ziemskich, poślubiona blizkiemu sąsiadowi, p. Adolfowi Bzurze, była bardzo przywiązana do swego ukochanego męża, odznaczała się zawsze różnymi dobrymi uczynkami, gdy mieszkali na wsi w Rydzewie, niosąc oświaty kaganiec między małuczkich i wspomagając biednych. Potem przesiedlili się na stałe do Warszawy; tu dom pp. Bzurów odznaczał się staropolską gościnnością i skupiał u siebie często różne sfery towarzystwa nad debatami, dotyczącymi niedoli ludzkiej. Przytem zmarła wspomagała w cichości serca różne instytucje, jako to: „Schronisko dzieci Maryi”, „Rozdawnictwo odzieży”, „Mieszkania dla robotników”, oprócz tego przed samą śmiercią upoważniła swego męża do wypłaty rb. 5000 na dom ludowy robotników chrześcijańskich. I ta skłonność do dobrych uczynków cechowała zawsze s. p. Maryę Bzurową, po której pozostał żal serdeczny ogólny i której pamięć nie zaginie. Cześć popiołom tej kapłanki uczuć religijnych. W. F.

DLACZEGO?

I.

Dlaczego dziecko, nie mogące jeszcze chodzić, a nawet stać o własnych siłach, może pchać przed sobą po pokoju krzesło, dwa razy cięższe od siebie?

Muskuły nóg niemowlęcia nie są tak rozwinięte, aby mogły podźwignąć ciężar ciała jego, mózg zaś niedostatecznie jeszcze wyszkolony praktycznie w sztuce utrzymania równowagi, wobec czego dziecko nie może posuwać się naprzód jedynie za pomocą nóżek.

Gdy jednak instynktownie użyje muskułów ramion, jako pomocy dla muskułów nóg, to umożliwia mu przenoszenie ciężaru ciała swego z miejsca na miejsce. W celu osiągnięcia tego czepia się rękoma, przypuścimy, nóg krzesła (Fig. 1), podnosi się, podpira i oto już,

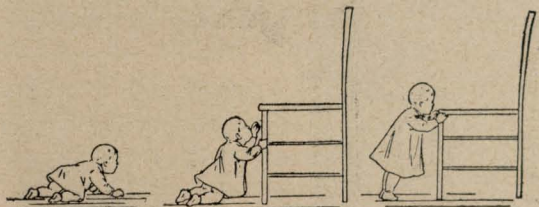


Fig. 1.

dzięki ukośnemu kierunkowi ciała i ślizgości podłogi, posuwa krzesło przed sobą, ponieważ siła, wywierana przez ciało jego w kierunku poziomym dla podtrzymania się, jest większa, niż siła tarcia pomiędzy krzesłem a podłogą.

Takim sposobem niemowlę, jakkolwiek niezdolne jeszcze do chodzenia lub stania bez pomocy, może przy kooperacji muskułów rąk i nóg nie tylko chodzić, lecz i pchać jeszcze krzesło cięższe od siebie.

Dlaczego człowiek, siedzący na karku konia, może jechać prędzej, niż człowiek, siedzący na grzbiecie końskim, bliżej ku ogonowi?

Ze tak jest istotnie, dowiedziono w sposób uderzający podczas ostatnich lat kilku na torach wyścigowych. Ale skąd to pochodzi? Przyczyna jest bardzo prosta, jakkolwiek w pierwszej chwili, gdy drobny dżokej amerykański, Tod Sloan, wprowadził sposób ten jeźdźczenia na tory wyścigowe, nikt nie umiał jej wytłumaczyć.

Aby posunąć się naprzód, koń musi odbić się od ziemi, główna zaś siła tego odbicia się konia naprzód spoczywa w jego nogach tylnych. Jeżeli zatem ciężar dodatkowy znajduje się nad tą siłą odbicia, albo tuż obok, to zmniejsza naturalnie jej skuteczność, zamiast bowiem przyczyniać się do posuwania konia naprzód, część siły zużywa się na podnoszenie ciężaru dżokeja przy każdym susie konia. Innymi słowy, im bardziej naprzód posunięty jest ciężar dodatkowy, tem dłuższy staje się kąt odbicia. Jeżeli zmierzmy odległość pomiędzy kopytami tylnymi a ogonem konia w biegu, to otrzymamy bardzo krótki kąt odbicia, zmierzwszy natomiast odległość pomiędzy karkiem jego a kopytami tylnymi, otrzymamy kąt bardzo wydłużony, co uwidocznia Fig. 2.

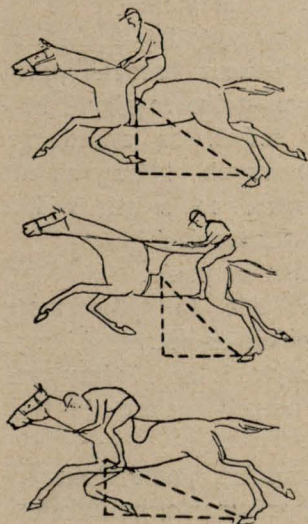


Fig. 2.

Ponieważ zaś koń zmuszony jest przy każdym susie unosić się w kierunku pionowym, to, oczywiście, znaczną stanowi dla niego różnicę okoliczność, czy podnosi ciężar martwy, utrudniający mu odbicie, czy też dopomagający mu do rzutów ku przodowi,

Dżokej, siedzący na karku konia, zwiększa wagę przedniej części ciała wierzchowca i przyczynia się więcej do ruchów jego w kierunku poziomym, niż pionowym. Pozycja taka da się porównać do uwieszenia kamienia u przodu koła młyńskiego, lub też do zasady, że, im dłuższa jest dźwignia, tem łatwiej podnieść ciężar. Im dłuższy zatem przy jeździe konnej będzie kąt odbicia się konia, tem łatwiej, a przeto i prędzej, koń posunie się naprzód.

Jeżeli następnie przypuścimy, że koń posiada koła zamiast nóg przednich, to dlaczego koń taki posuwałby się prędzej naprzód, niż koń, zaopatrzony w nogi?

Gdyby koń posiadał zamiast nóg przednich koła (Fig. 3), to nogi jego tylnie pozostałyby nie mniej składnikami głównymi mechanizmu, służącego do posuwania się naprzód, gdy tymczasem najcięższa, t. j. przednia część ciała jego, opierałaby się i posuwała z mniejszym wysiłkiem na kołach, gdyż ciężar jej rozdzieliłby się na wszystkie szprychy, mechanicznie następujące po sobie podczas obrotu koła i zastępujące jedna drugą przy pracy. Posiadając

zaś, zamiast kół, nogi przednie, odgrywające w danym przypadku rolę dwóch szprych kół bez obręczy, koń musi poruszać nimi w czasie biegu bardzo szybko, zastępując tymi ruchami większą liczbę szprych, co wywołuje też większe wstrząśnienia i stratę wysiłku.

Dowód dalszy, że, w razie posiadania kół zamiast nóg przednich, koń miałby mniejszy opór do przewyciężenia, stanowi pozycja, jaką zajmuje, gdy zniewolimy go do cofania się z wozem. Widz, nie zastanawiający się nad tym ruchem, powiedziałby bez namysłu, że koń używa do tego nóg tylnych, w istocie jednak jest przeciwnie: przy cofaniu się cały opór konia spoczywa na nogach przednich.

Czynność cofania się konia, zaprzężonego do wozu, jest przewyciężaniem siły napierającej. Wóz pcha konia naprzód, koń zaś usiłuje popchnąć wóz ku tyłowi. Dla przekonania się, że tak jest rzeczywiście, weźmy pudełko kartonowe i naciśnijmy je z jednego końca. Cóż widzimy? Pudełko nachyla się ku przodowi i tam skupia całą wagę i siłę oporu. Jeżeli postawimy konia zamiast pudełka, to powtórzą się te same warunki: cała jego waga rzucona jest naprzód, aby dopomóc nogom jego przednim do przeciwdziałania, albo opierania się lepiej wstecznemu parciu ziemi. Gdyby zaś koń posiadał zamiast nóg przednich koła, to jasnym jest, że opór jego byłby daleko słabszy, ciśnienie bowiem od tyłu popierałoby raczej ruch kół ku przodowi. To też okoliczność, że koń, posiadający dwie nogi, które może postawić mocno, jest w stanie pchać w tył lepiej, niż gdyby



Fig. 3.

posiadał kilka nóg lub szprych, wciąż posuwających się naprzód, dowodzi, oczywiście, także twierdzenia odwrotnego, że koń, zaopatrzony w koła zamiast nóg przednich, posuwałby się naprzód prędzej przy takim samym wysiłku, lub też tak samo szybko przy mniejszym wysiłku, niż koń, mający nogi zamiast kół z przodu.

Konie męczą, oślabiają, a nawet psują sobie zupełnie nogi daleko więcej przy przewyciężaniu własnego ciężaru, niż przy przewyciężaniu wagi ładunku, który ciągną. Jakże często widzimy ludzi, naglających konie do szybszego biegu przy zjeżdżaniu w dół pochyłości! Ludzie ci sądzą, bez wątpienia, że koń nie używa w biegu tym żadnego wysiłku, gdyż wóz sam za nim podąża. Mniemanie takie stanowi błąd poważny i w skutkach szkodliwy, gdyż, biegnąc tak, biedne zwierzę zmuszone jest do wielkiego wysiłku przy przewyciężaniu powstrzymującej go siły. Uderza przednimi nogami w ziemię bardzo mocno i nadweręża je okropnie. Dlatego też przy biegu takim często potyka się i upada.

WYŚCIGI.

I.

Rasowe konie, zokije,
Rasowe piękne kobiety,
A w oczach wszystkich widnieją:
Kto też dobiegnie do mety.
Kto pierwszy stanie u celu
Po konkurentów rozbiciu?
Wyścigi! świetny modelu
Tego, co dzieje się w życiu!

II.

Młodzian, co wygląd ma pański,
W typie zamorskiej urody,
Jak Edward wielkobrański,
Jest wzorem szyku i mody.
Z królem się ściga, nie z tłumem,
Jak on, być pragnie brylantem...
Edward ma głowę z rozumem—
I cóż ty zrobisz z tym fantem?

III.

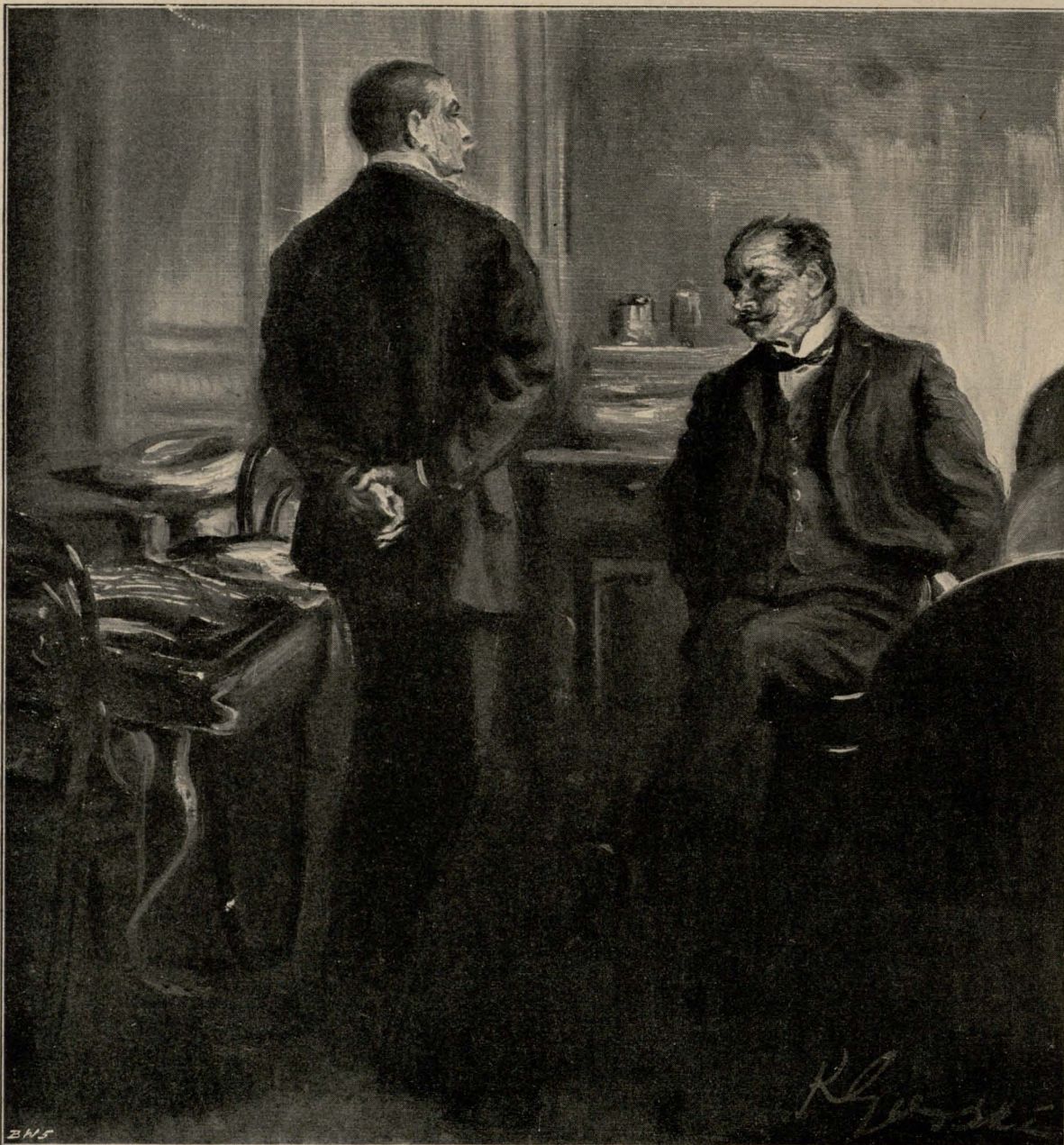
Świat rasowością zatruty,
Krwi modrej stara pieczęta,
Cienkie i chude folbluty,
I wynędzniałe hrabiątka.
Odbierz im *dopping*, niestety!
Co we krwi strzela, jak race,—
Cóż pozostanie? Chabety!
Cóż pozostanie? Pajace!

IV.

Konie cwałują szalenie,
Szpicrutą jeźdźców kropione,
I my na świata arenie
Galopujemy, jak one.
Lecą mężczyźni, kobiety,
Życiowe baty ich grzmocą,
I pędzim, pędzim do mety,
A nie odgadnie nikt: Po co?

V.

O, milordowie szlachetni,
Którzy stoicie przed metą,
Kto wygra—ród swój uświetni,
Kto przegra—smutny jest przeto.
Sportowej pełnych ochoty
Do celu marzeń zawiodę:
Urządźcie wyścig głupoty,
Weźmiecie wszyscy nagrodę.



Usiadł pan Apolinary.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 19)

— Zmęczyła pana trochę nasza Litwa? Kazimierz otrząsnął się z zapamiętania i ujrzał nad sobą postać gospodarza domu w zwykłej pozie pomnikowej, uprzejmie go wyzywającego na rozmowę przez szpary oczu przymilone.

— Ani trochę nie zmęczyła mnie, szanowny panie. Zadumałem się nad nią.

— Nad polami, nad lasami—ciągnął Chmara, siadając obok Rokszyckiego—nad obfitością tej ziemi, jakoby jeszcze dziewiczej pod względem korzystania z bogactw jej. Masz pan dobrą specjalność, panie Rokszycki: rolnictwo, przemysł rolny, choćby i ten len, rzec można, nie docenioną jeszcze trawę.

Kazimierz nie mógł zaprzeczyć, a zarazem nie mógł wyznać, że mu len chwilowo zobojętniał, jak śnieg przeszłoroczny, że go zajmuje teraz gorączkowo wrzos, rosnący na polance leśnej „pod Sidorkiewiczem”.

— Tak, tak—odpowiedział dość niemrawo—są tu bogactwa.

— Są. Najlepiej skierowany patriotyzm—to podnieść do wydajności idealnej ten kąt ziemi, który Bóg dał, z bogactwem siebie i kraj i zarazić pracowitością okolice, w której urodziłeś się. Praca tu, pod ręką, w warunkach, jakie są, a nie jakieby być mogły, wydaje się lekkomyślnym ludziom zadaniem dla wołu, a to jest właśnie praca dla człowieka i patrioty.

Kazimierz się ożywił:

— Nie mogę być innego zdania co do pracy nad rolą, skoro ten zawód sobie obrałem. Co zaś do patriotyzmu, który i tę pracę powinien ożywiać, mam go jednak za uczucie, obejmujące szersze widnokreśli.

— Żeby obejmować widnokreśli, trzeba wejść na wysokie góry—rozpoczął Chmara tonem poważnym, w którym drgała naprężona wola i przywyknienie do posłuchu.

Skoro tylko zauważono duet Rokszyckiego z Chmarą, natychmiast ściągnęło się do nich koło słuchaczy. Przsiedli się obaj Budziszowie, Assernhof, Fedkowicz.

Pan Eustachy może tego i nie pragnął, lecz, zacząwszy, nie przerwał:

— ...trzeba wejść na wysokie góry. A zanim zajdziesz na szczyty, skąd jasno widać, możesz się zabłąkać i w przepaście. Długa droga, a tymczasem praca w dolinie, praca przyrodzona, leży odłogiem.

— I takie bywają wypadki—rzekł Kazimierz, skupiając się jeszcze bardziej przed liczniejszym audytorium—tylko że góry, o których szanowny pan mówi, są zwiedzone. Mamy takich, ludzi pewnych, którzy na nie weszli i przekazali nam, co z gór widać. I ojcowie nasi byli na szczytach.

— Świat się zmienia, panie.

— Nie przeczę. Ale to tylko może doprowadzić do wniosku, że potrzebni i tacy, którzy chodzą na szczyty, i tacy, którzy pracują w dolinie. Ja zresztą należę do tych ostatnich.

— Dobrze pan czynisz, panie Rokszycki. Bo, porzucając porównania, polityka nasza od wielu lat polegała na wadliwych

horoskopach. Jesteśmy słabą tylko jednostką w Europie, jednostką nawet w Słowiańszczyźnie, a stawiamy przed sobą zadania wszechświatowe, w rodzaju wizji Towiańskiego, zamiast czynić, co do nas należy. Pan to zrozumiał i zabrał się do pracy realnej u siebie.

— Że jestem na pierwszym szczeblu—odpowiedział Kazimierz—to mi nie przeszkadza za pracę realną uważać inną, wyższą: pracę nad ustaleniem kierunku naszych dążeń; nie wizjonerstwo, ale zdanie sobie dokładne sprawy, gdzie jesteśmy i dokąd iść mamy.

— Zgadzam się z panem. To właśnie, ale bez wizjonerstwa. Polacy naprzykład na Litwie są w znacznej mniejszości i powinni o tem pamiętać. Stanowią element napływowy, jak rodowici Rosyanie, albo Żydzi. Ale Polacy mają zwyczaj apostołowania w tym kraju w imię swojej idei. Jest to równie dla nich, jak dla tutejszego kraju, niepraktyczne. I to nazywam wizjonerstwem.

Kazimierz zaczął wpadać w gorączkę.

— Cóż pan tedy chce, aby Polacy tu robili? Nie mogą chyba asymilować się z innymi narodowościami, czyli ulegać dobrowolnie kulturom niższym, lub mniej uprawionym?

— Otóż to!—rzekł Chmara z wyrazem pożałowania w gorzkniejącej twarzy—powstaje zaraz spór o wyższość, o uprawnienie rozmaitych kultur. A my tylko chcemy sprawiedliwości i spokoju.

— Sprawiedliwości dla kogo?

— Równej dla wszystkich szczepów, tu osiadłych, i proporcjonalnej do ich liczby. Dlatego ja tu jestem za autonomią Litwy, ale bez uciemnienia praw Rosyan, Polaków, Białorusinów i Żydów.

— Moznaby jeszcze dodać—Jadźwingów.

— Chciałbym pozostać przy tonie poważnym—rzekł Chmara twardo.

— Ja również—odpowiedział niemniej stanowczo Rokszycki.—Bo nie wiem, czy zarzem, czy z innego powodu zapominamy o tem, że prawa Rosyan tutaj są poparte przez całą potęgę Państwa, prawa Żydów przez ich związek międzynarodowy. O te prawa bać się nie potrzebujemy. Dążenia narodowościowe ludu litewskiego i białoruskiego są zaledwie sformułowane przez garstkę agitatorów; bardzo wątpię, aby żyły w samym ludzie i miały przyszłość separatystyczną. Chciałbym jednak wiedzieć, jaka potęga gwarantuje tu stare i autentyczne prawa Polaków, jeżeli nie ta, która jest i być powinna w nas samych?

— Nie zna pan Litwy, panie Rokszycki.

— Ale znam historię. My tu jesteśmy u siebie za zgodą starożytną plemion, kraj zaludniających. Wszyscy, jak tu siedzimy, jesteśmy chyba Polakami. Myślmy więc bez skrupułów, jak Polacy. Ta nowa sprawiedliwość dąży chyba do tego, aby kraj rozdzielić na plemiona, aby je osłabić i wszystkie razem rzucić potem w objęcia Wschodu.

— Ktoż to powiedział?—rzekł Chmara wyniośle, dotknięty i tonem, i konsekwencją dyskusji.

— Powiedziała sama teoria, której pan

broni. Jeżeli my tu zginiemy, Polacy, zginie cała Litwa.

— Albo się zastosuje do nowej ewolucji słowiańskiej, której pan nie docenia.

— To dla mnie równoznaczne.

Chmara powstał, powstali i inni, mocno zelektryzowani. Od czasu jak Rarogi Rarogami, nie pamiętano, aby kto tak śmiało stawił czoło wielkiemu Chmarze.

Towarzystwo się zmieszało, udając salonowe ożywienie, ale zaczęło zaraz życzyć sobie dobrej nocy. Rokszycki oświadczył, że wyjeżdża do Wilna, o ile można, pierwszym pociągiem, gdyż obrachował się z czasem i musi śpieszyć. Chmara udawał gościnnego, ale zamówił konie na trzecią z rana, gdyż pociągi odchodziły ze stacyi wczesnym rankiem, lub dopiero wieczorem.

Gdy Rokszycki, zegnając damy, powtórzył, że wyjeżdża dziś w nocy, księżna Zaslawska z wytworną grzecznością z nim się pożegnała:

— Niezmiernie żałuję, że tak krótko miałam przyjemność z panem rozmawiać. Mam nadzieję, że pan przyjedzie znowu w te strony, a wtedy nie ominie naszego domu, gdzie jest także len i polowanie na lisy... Szczęśliwej drogi, do widzenia...

Aż się zadziwił Kazimierz i możeby uwierzył w życzliwość księżnej, gdyby oczy jej szare, uprzejmie i wyniośle zarazem przemrużone, nie rzucały jakichś blasków kocich, przejmujących złem przecuciem.

Krystyna bardzo zbladła i pod skrzyżowanymi bagnetami spojrzeń zdołała tylko w krótkim odwróceniu twarzy wyszeptać jedno słowo:

— Przyjść.

Z mężczyznami zegnał się śpiesznie, z niektórymi serdecznie. Ujął go najbardziej pan Hieronim, który go odprowadził na bok i, westchnąwszy głęboko, wypowiedział aż tyle:

— Mało wyjeżdżając, nie przyszło się widzieć często braci z Korony. Ale oto szczęśliwym zdarzeniem poznałem pana i nauczyłem się na starość, jacy są między wami. Niech pana Bóg sekunduje we wszystkich szlachetnych zamiarach.

Kazimierz, zaskoczony prawie przez tę przemowę, zapytał pozornie bez związku:

— Czy pan był po mojej stronie w dyskusji z panem Chmarą?

— A tożby jeszcze! Dobrze jemu powiedziałeś, kochany. Ja mało mówię.

— Prawdziwie mi żal, że dopiero teraz zaczynamy rozmawiać, gdy się rozstajemy, i że droga mi wypadła inaczej...

— A już, milejby było wracać samotrzeć do Wiszun, ale musi sam wiesz...

Tego olbrzyma, delikatnego widać i nieśmiałego, jak panna, najserdeczniej uściskał Kazimierz.

Wpadł do swego pokoju, zrzucił ubranie, chwycił w ręce wody i zmoczył obficie głowę. Ubrał się potem do podróży, gdyż nie zamierzał kłaść się spać.

Dobrze czy źle uczynił, postępując tak szybko, z głębi serca, ale bez rozwagi, zrażając sobie wszystkich: księżnę, Chmarę, ten cały dom, gdzie Ona mieszka?...

— Wolę tak—rzekł po krótkim namyśle—wyzwałem wrogów, ale mozem właśnie

pozyskał tem gorętszych przyjaciół... Ten Hieronim jaki miły dziad!...

Nie upłynęło dziesięć minut, odwiedził go pan Apolinary.

— No, Kaziu, nie wiedziałem, żeś taki obcesowy.

— A co? uniosłem się, myśli wuj?

— Zdrowo mu. Może trochę w tonie zanadto... Młodość, dobrodziejmo mój! Żebyś miał twoje lata, tak samobym wypalił. Ale i do rzeczy wcale gadałeś, możesz się nawet wyrobić na polityka. Nic dziwnego: syn takiego ojca!

Usiadł pan Apolinary i nagle ożywił się jowialnie, wspominając:

— Jak to było? On na górę, ty jego z góry, on na dół, a ty go znowu ciągniesz na górę. Komedia, dobrodziejmo mój!

— Rzeczywiście, komedia, ale z jego strony. Co tam porównania, namaszczenie jakieś! Obcy człowiek, spekulant polityczny!...

— A nie, to znowu za ostro. On mi na osobności trochę inaczej śpiewał, gdy go przyparłem.

— Wie wuj, że jużby na dzisiaj dosyć było tej polityki.

— Masz rację. Gadam od piątej, nie licząc poranka—aż mi w gardle zaschło.— Ale *à propos*—tutaj wina dają bardzo pod miarą, i nie tęgie jeszcze.—Wogóle wystawa na oko, ale sznureczki od worka zacisnięte. Co za porównanie do Wiszun! Tam to kraj i ludzie i dom staropolski!... choć ta moja kuzynka jeździ na autonomii Litwy, jak na kulawej kobyle.

— Bo to i kutwa jeszcze, zbieracz rubli ten wielki Chmara!—dodał Kazimierz.— I nie wiem, dla kogo? dla tych córek?...

— Nie to, co nasza Aldonka!—wtrącił Apolinary z mocno znaczącym uśmiechem.

Kazimierzowi stało się, jakby mu drugi raz głowę obłano wodą. Zaczął chodzić nerwowo po pokoju.

— Któżby pannę Aldonę porównywał do tych biednych Chmarzanek!—rzekł dla proporcji.

— Wiesz co, Kaziu? Niema sensu, abys leciał teraz w nocy do Wilna, kiedy mieliśmy wracać razem do Wiszun.

— Nie, wuju. To już postanowione. Nawet przed panem Hieronimem się wymówiłem.

— A on cóż?

— Zrozumiał, że tak być musi.

— Et, ślamazara trochę ten mój krewniak!

— Owszem, skryty, ale porządny człowiek. Bardzo mi się podoba.

— Przecież nie bardziej, niż Aldona, dobrodziejmo mój?

— Może i bardziej,

— Mówmy poważnie, Kaziu. Nigdzie na Litwie nie spotkałeś ładniejszej, posażniejszej, bardziej stworzonej na małżonkę porządnego obywatela...

— Co mnie to obchodzi, wuju?—rzekł Kazimierz, wzruszając nerwowo ramionami.

— Jaktó co? Przecie nie pierwszy raz o tem mówimy. Przecie nie bez tego, żeby i ja coś nie napomknął to ojcu, to matce. Bardzo ci wszyscy radzi. (DCN)

A. BIERCE:

PRZYBYSZ.

Wstąpił z ciemności nocnych w krąg wielki światła, rzucanego przez dogasające ognisko obozowe, i usiadł na odłamek skalnym.

— Nie wy pierwszy— rzekł poważnie — zwiadcacie tę okolicę.

Nikt nie zaprzeczył twierdzeniu nieznanego. Wszak samo już przybycie jego dowodziło, że mówił prawdę, nie należał bowiem do naszego to-



Wprost przed sobą ujrzeliśmy szczelinę wąską.

warzystwa, musiał więc znajdować się gdzieś w pobliżu przed nami. Co więcej, musiał posiadać towarzyszków, gdyż miejscowość ta nie nadawała się bynajmniej do podróży samotnych. Od tygodnia już, oprócz koni naszych, nie widzieliśmy innych istot żyjących, jak grzechotniki i jaszczurki rogate. W pustyni arizońskiej nie sposób wytrzymać długo w towarzystwie tylko stworzeń takich. Należy posiadać zwierzęta juczne, zapasy żywności, broń, namioty, to wszystko zaś wymaga obsługi kilku ludzi. A kto wie, jakiego gatunku ludźmi są towarzysze tego przybysza bezceremonialnego?

Nie dziw tedy, że nasza szóstka awanturicza uniosła się z postą i że każdy położył rękę na rewolwerze, co oznaczało, że czekamy dalszego ciągu. Przybysz jednak nie zważał na to i mówił dalej głosem rozważnym i monotonnym:

— Trzydzieści lat temu Ramon Gallegos, Wiliam Shaw, Jerzy Kent i Berry Davis, wszyscy z Tucsonu, przebyli góry Santa Catalina, dążąc prosto na Zachód, o ile ustrój gruntu pozwalał na to. Byliśmy poszukiwaczami złota i zamierzaliśmy w razie niepowodzenia dotrzeć do rzeki Gila w miejscu, gdzie skręca na południe, a gdzie, jak słyszeliśmy, miały znajdować się osady ludzkie. Zabraliśmy z sobą wszystko, co potrzeba, ale nie mieliśmy przewodnika, my: Ramon Gallegos, Wiliam Shaw, Jerzy Kent i Berry Davis.

Nazwiska te powtórzył wolno i dobitnie, jakby chciał wrazić je w umysły słuchaczy, przyglądających mu się teraz uważnie, ale już bez niepokoju, ruchy bowiem i mowa jego nie zwiastowały cienia nawet zamiarów nieprzyjaznych. Sprawił raczej wrażenie waryata nieszkodliwego, niż wroga. Nie byliśmy znów tak obcy w tych stronach, aby nie wiedzieć, że życie włóczęgów stepowych sprzyja rozwojowi w usposobieniu ich i postępowaniu dziwactw, trudnych do odróżnienia od zбочeń umysłowych.

Boć człowiek to jak drzewo. W lesie, wśród towarzyszków, wyrośnie tak prosto, jak na to po-

zwalają własności jego gatunkowe i indywidualne. Samotne zaś ulegnie koszlwiącym je siłom i wpływom otoczenia.

Myśli takie przesuwają mi się po głowie, gdy spoglądam na przybysza z pod opuszczonych skrzydeł kapelusza.

— Bez wątpienia upośledzony na umyśle, ale co on tu robi na pustyni?

Podjąwszy się opowiedzenia przygody naszej, chciałbym też opisać wygląd nieznanego. Byłoby to całkiem naturalne. Niestety jednak, rzecz dziwna, nie umiem uczynić tego z zupełną pewnością siebie, bo po tej przygodzie nie znalazło się w gronie naszym dwóch zdań jednobrzmiących co do wyglądu i ubrania przybysza, gdy zaś usiłuję pogodzić z sobą zdania sprzeczne, to całość wymyka się poprostu z mego umysłu.

Każdy człowiek potrafi coś opowiedzieć, gdyż opowiadanie to jedna z sił żywiołowych człowieka. Ale zdolności opisowe to rzecz inna, nie każdemu dana.

Ponieważ nikt nie przerywał ciszy, przybysz ciągnął głosem nie zmienionym:

— Kraj ten nie był wówczas tem, czem jest dzisiaj. Pomiędzy rzeką Gila a zatoką Meksykańską nie istniała ani jedna osada ludzka. Istniało natomiast trochę zwierzyny, a przy rzadkich zbiornikach wody tyle tylko trawy, że zwierzęta nasze nie zdychały z głodu. Gdyby udało się nie spotkać Indian, to zdołalibyśmy przebyć pustynię. Po tygodniu przekonaliśmy się, że poszukiwania nasze są bezowocne. Ale zabrnęliśmy zbyt daleko, aby powrócić, nie pozostawało tedy nic innego, jak tylko brnąć dalej. Szliśmy więc nocami dla uniknięcia Indian i upału nieznośnego, kryjąc się za dnia, gdzie się udało...

Pewnego poranku, gdyśmy mijali łańcuch górski, napadła na nas banda Apaszów. Widocznie szli za tropem naszym. Na pad nastąpił w jarze, stąd niedaleko.



— Madre de Dios—zawołał—przyjmij duszę Ramona Gallegos!

Wiedząc, że przewyższają nas liczbą dziesięćkrotnie, nie zachowali zwykłych środków ostrożności, lecz runęli galopem, strzelając i wyjąc. O walce nie było mowy. Popędziliśmy zatem w górę jaru wygłodzone zwierzęta nasze, dopóki starczyło im gruntu pod kopytami, gdy zaś dalsza jazda okazała się niemożliwą, zeskoczyliśmy z koni i, pozostawiając je w ręku wroga, rzuciliśmy się w krzaki na zboczu góry. Zatrzymał jednak strzelbę każdy z uas. Ramon Gallegos, Wiliam Shaw, Jerzy Kent i Berry Davis.

Indianie zeskoczyli także z koni i kilkunastu z nich podążyło poza miejsce w jarze, w którym zostawiliśmy konie, przecinając nam drogę w tym kierunku i zmuszając do pięcia się po zboczu.

Lecz krzaki ciągnęły się pasem wąskim. Przebywszy je, znaleźliśmy się w miejscu odsoniętem, pod strzałami Indian. Apasze jednak źle strzelają w pośpiechu, i widocznie Bóg tak chciał, że żaden z nas wówczas nie zginął. O kilkadziesiąt kroków poza pasmem krzaków wznosiły się skały prostopadłe. Wprost przed sobą ujrzeliśmy szczelinę wąską. Rzuciliśmy się tedy ku niej i znaleźli w jaskini obszernej, zapewniającej na pewien czas schronisko bezpieczne, wystarczał bowiem człowiek z karabinem w ręce, aby zagrozić wejście do jaskini wszystkim Apaszom świata.

Ale przed głodem i pragnieniem nie było obrony.

Ani jeden z Indian nie ukazał się oczom naszym. Z blasku wszelako ognisk, rozniecanych nocami w jarze, czuliśmy, że, zaczajeni w krzakach, czyhają dzień i noc na nas, że wychylenie się z jaskini na kilka kroków równałoby się wpadnięciu w ich ręce i turturom straszonym.

Wytrzymaliśmy trzy dni i trzy noce, czuwając kolejno przy otworze jaskini. Czwartego dnia z rana rzekł Ramon Gallegos:

— Seniores! Niewiele wiem o Bogu i woli Jego. Żyłem bez religii i nie znam waszej. Przebaczcie, seniores, że wyrządzam wam przykrość, lecz czas już sprawić zawód Apaszom.

To mówiąc, klęknął na kamiennej podłodze jaskini i przyłożył rewolwer do oka.

— Madre de Dios!—zawołał—przyjmij duszę Ramona Gallegos!

I tak opuścił nas: Wiliama Shawa, Jerzego Kenta i Berry'ego Davisa.

Ja byłem przywódcą wyprawy. Mnie więc wypadało przemówić.

— Dzielny był chłop—rzekłem—wiedział, kiedy i jak umrzeć. Szaleństwem jest zginąć z pragnienia lub być odartym żywcem ze skóry przez Apaszów.

— To prawda—odparł Wiliam Shaw.

— To prawda—potwierdził Jerzy Kent.

Wyprostowałem członki Ramona Gallegos i przykryłem twarz jego chustką.

Wówczas odezwał się Wiliam Shaw:

— Chciałbym wyglądać tak za chwilę.

— I ja także—dodał Jerzy Kent.

— Niech tak się stanie!—odparłem.—Naprawdę oczekiwać będą czerwone dyabły. Wiliamie Shaw i Jerzy Kent, zbierzcie siły i uklękniecie.

Tak też uczynili, a ja stanąłem przed nimi.

— Wszchemocny Boże, Ojcze nasz — zacząłem.

— Wszchemocny Boże, Ojcze nasz—zawtórowali Wiliam Shaw i Jerzy Kent.

— Przebacz nam nasze winy...

— Przebacz nam nasze winy—powtórzyli.

— I przyjmij dusze nasze...

— I przyjmij dusze nasze...

— Amen!...

— Amen!

Położyłem ich obu obok Ramona i przykryłem twarze ich chustkami...

Nagle wszczął się ruch przy ognisku. Jeden z towarzyszków moich zerwał się, trzymając rewolwer w ręce.

— I ty—wołał do opowiadającego—ty śmiałeś ich opuścić? Śmiesz żyć jeszcze, psie tchórzliwy! Niech mnie powiesz, a wpakuję ci w łeb kulę!

W tej chwili jednak skokiem pantery przewodnik nasz znalazł się przy groźącym i chwycił go za rękę.



— Przebacz nam nasze winy—powtórzyli.

— Co robisz, Samie Jountsey, có robisz, szaleńcze!

Wszyscy powstaliśmy na równe nogi oprócz przybysza, siedzącego bez ruchu i obojętnie.

— Ten człowiek—rzekłem do Jountsey, któremu odebrano już rewolwer—to obłąkany, albo kłamca, zwykły kłamca. Boć, jeżeli należał istotnie do grona opisywanego, to byłoby ich pięciu...

— To prawda—poświadczył przewodnik — a jednak przed laty, u wejścia do tej jaskini, znaleziono zwłoki tylko czterech ludzi białych, oskalpowane i pocięte okrutnie. Pochowano je na tem samem miejscu. Widziałem mogiły. I wy możecie ujrzeć je jutro.

Przybysz podniósł się i stał wyprostowany w niepewnym blasku dogasającego ogniska.

— Bo też było ich tylko czterech: Ramon Gallegos, Wiliam Shaw, Jerzy Kent i Berry Davis.

Po słowach tych odwrócił się i znikł w ciemnościach.

W tej chwili towarzysz nasz, postawiony na



— I ty—zawołał—ty śmiałeś ich opuścić!

straży za obozem, zjawił się u ogniska wzruszony.

— Panie—rzekł do przewodnika—przed pół godziną trzech ludzi stanęło tam, na płaskowzgórzu—tu wskazał w kierunku, w którym oddalił się nieznajomy.—Widziałem ich wyraźnie, bo księżyc wschodzi, ponieważ jednak byli bezbronni, czekałem więc, co zrobią, ale znikli...

— Proszę wracać—odparł przewodnik—na stanowisko i czekać, póki znów się nie zjawią. A wy—dodał, zwracając się do reszty—owicie mi się zaraz w kołdry i spać, bo wrzucę do ognia!

Lecz krewki Jountsey nie wytrzymał:

— Przepraszam—spytał przewodnika — jak pan sądzi, kto byli ci trzej ludzie, tam na wzgórzu?

— Ramon Gallegos, Wiliam Shaw i Jerzy Kent!

— A Berry Dawis? Chyba to ten... Powiniennem był wpakować mu kulę.

— Niepotrzebnie! nie mógłbyś pan zabić go powtórnie. Spać!

Przeł. S. BARSZCZEWSKI.

NADESŁANE.

HENRYK MICHAUX
LEKARZ DENTYSTA

Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZJI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowem dziele WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTĘGI WOLI”, wydane nakładem G. bethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.



IDEALNY POKARM

dla niemowląt i dla dorosłych, dotkniętych chorobą żołądka.



MYDŁO z MLEKA LILIOWEGO „KONIK”
BERGMANN i SKA RADEBEUL-DREZNO

daje rumiany, młodzieńczo-swieży wygląd, czystą, białą, miękką jak jedwab skórę oraz delikatną, osłepiająco piękną cerę.
Po 50 kop. dostać można wędzie.
Główny skład na Państwo Rosyjskie:
Biurowo chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, dom Sinnera.

KALODONT

Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

Żądać wszędzie

księgarnia FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36 przesłała na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”
mamy na składzie

Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

piękne artystyczne teczki

do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego
po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza
po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

Tow. Akc. Browaru **Haberbusch i Schiele**
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

MAGAZYN KRAWIECKI
SZWALBE SACHSKA
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY
GOTOWE i NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 6717.



ZEGARKI
b. PŁASKIE,
ZEGARKI
w bransoletach,
BUDZIKI
kieszonkowe
b. praktyczne

u ZEGARMISTRZA

A. MODRO

WARSZAWA,

Marszałkowska 151

Telefon 28-98.

Złoty medal 1908
Srebrny medal 1908

Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzcinowych T. & W. Krakowscy

Magazyn—Warszawa,
Aleje Ujazdowskie 16. Tel. 70-10

L. Lipiński (Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie, }

Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuteria złota i srebrna w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

VENUS puder uznany na wystawach higienicznych jako nieszkodliwy i polecony dla PAŃ jako najlepszy puder krajowy.
Piegi pryszczę, plamy i liszaje usuwa kremem VENUS idealnie skuteczny środek.
AGATOL proszek, eliksir i pasta do ZĘBÓW o silnym aromacie i własnościach przeciwnilnych.
Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34. Żądać wszędzie.

Przygotowując do druku monografię rodziny Walewskich uprzejmie proszę osoby posiadające jakiegokolwiek dokumenty, tyczące się tej rodziny, o przesłanie wiadomości o nich do Kazimierza Walewskiego w Tu-będzinie, poczta Błaszki, gubernia Kaliska, lub do Laury Walewskiej w Warszawie, Hortensya Nr 5. Nabywane będą również chętnie i wszelkie pamiątki po Walewskich.

Najlepsza Pasta do Obuwia „INTRYGANT” żądać wszędzie
H. Trembińskiego



L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23 (vis à vis pom. Mickiewicza)

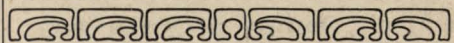
Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.



ODPOWIEDZI.

Panu J. Lew... Katalogi heraldyczne rodziny tego nazwiska nie znajdujemy, dlatego nie możemy nawet określić, czy należała do rzędu szlacheckich. O broszurze pod takim tytułem również nie wiemy, ani o tem, aby istniał kiedykolwiek generał Lew... Jeżeli nawet istniał, to w każdym razie nie w polskich wojskach, bo o tem w rocznikach wojskowych niema wzmianki.

Czytelnikowi ze Lwowa. Adres p. Artura Górskiego brzmi: Paris, 4-bis rue des Beaux Arts.

Emigrantce. Rodzina Schw..., jak to samo brzmienie nazwiska pokazuje, jest pochodzenia niemieckiego. Źródła dziejowe nie wspominają, aby kiedykolwiek uzyskała indygenat polski, musiała tedy przybyć do Polski stosunkowo późno, albo też pochodziła ze stanu miejskiego, i dlatego o udzieleniu jej indygenatu mowy być nie mogło.

Panu Edwardowi Magnuszewskiemu. Rodzina M... używa herbu *Ogończyk* (na tarczy w polu czerwonym, na półpiersieniu, zwróconym barkiem do góry, strzała ostrzem do góry; nad hełmem w koronie szlacheckiej dwie ręce kobiece trzymają pierścień, jak na tarczy). Rodzina S... pieczętuje się herbem *Junossa* (na tarczy w polu czerwonym na zielonej murawie baran biały stąpa w prawo. Nad hełmem w koronie pół takiego barana, jak na tarczy, wspiętego na prawo).

P. A. J. w M. Książki, o której Sz. P. wspomina, nie znaleźliśmy w spisach bibliograficznych od r. 1901 do 1909 r.

PASTILLES

DE

TAMAR
INDIEN
GRILLON

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający
PRZECIW

OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem

Rynek głów. Ilnia AB róg ul. Floryańskiej

KRAKÓW Magazyn Nowości **B. WIERZEJSKI**

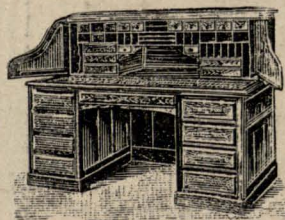
Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

Od Administracji.

Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę premium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., album

„Duch-Rewolucjonista” Antoniego Kamińskiego

Cena albumu broszurowanego Kor. 5.— (rb. 2)
" " w ozdobnej oprawie " 10.— (rb. 4)
Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się " 1.— (kop. 60).



KOMPLETNE
Urządzenia biurowe
KAROL F. FIŚER

Warszawa, Mazowiecka 10.



**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**

KRAKOW TELEFON 671

SAGRADA BARBER

wzmacnia żołądek
i łagodnie przeczyszcza

UŻYTECZNE, PRAKTYCZNE, TANIE

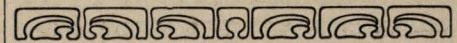
WITRAŻE

do okien, oraz KALKOMANIE naśladowujące stoje i kolory wszelkich drzew i marmur

MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8).

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY

GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17



ODPOWIEDZI.

P. Helenie L. Na Kursy wieczorne roczne przedmiotów specjalności handlowej T. Raczkowskiej w Warszawie (Marszałkowska 80) przyjmują się panny ze średnim wykształceniem (świadcetwo z ukończenia pensji nie wymagalne). Na rocznych kursach wykładają się następujące przedmioty: buchalteria i rachunkowość handlowa, korespondencja handlowa w języku polskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim; język niemiecki, prawo handlowe, ekonomia polityczna, kaligrafia, pisanie na maszynie. Oplata roczna rb. 100. Wykłady rozpoczynają się w połowie września i trwają do połowy czerwca. Po ukończeniu kursów i egzaminie z przedmiotów studyowanych wydają się świadectwa.

P. Jerzemu Kost. we Lwowie. Wiersze Pańskie nie stoją na poziomie naszych wymagań literackich.

Prenumerotorowi z Krynicy. Adres pisma *Zgoda*: 102—104 W. Division Street, Chicago III. U. S. of America.

Prenumerotorce Tygodnika od r. 1880 Nr. 92. Wyszło tylko 25 zeszytów; razem będzie około 30. Obecnie z powodu śmierci s. p. Karłowicza i wyjazdu prof. Kryńskiego, głównych inicjatorów i współpracowników, wydawnictwo uległo zwłoce.

P. W. Z. Wiersza: „Do obrazu Jeneweina: „Bachanalia podczas zarazy” nie wydrukujemy.

B. Sądownikowi w Warszawie. List w Petersburgu odebrany. Wyrażony w nim żal zupełnie usprawiedliwiony.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE **MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE** Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

Sosnowiec
(gub. Piotr.)
Telefon 258

ADAMA BRANICKIEGO
dawniej
Sternicki i Branicki

Pierwszej w kraju fabryki
owsianych produktów od-
żywczych i kawy słodowej



Popierajcie wytwórczość krajową i kupujcie tylko:
**Owsianą kaszę zdrowia, Owsianą mączkę zdrowia,
Owsiane kakao zdrowia, Kawę słodową zdrowia,**
Dozwolone przez Warsz. Urz. Lekarski za Nr 6230.

Zdrowe i poślizg

